BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
c IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 10 października 1948 r. | Nr 41 (150)

TREŚĆ NUMERU: Daniel Rops — Chrystus i Jego Kraj; W. Kętrzyński — Prawdziwe oblicze Neo-romantyzmu; Film Z. Czarkowski — Alianci; Tydzień kulturalny; M. Markowski — Boy contra Kreczmar; W. Pietrzak (Balk) — Lot Jaskółek; Nabyć czytać nie czytać...; Dotychczasowe rezultaty E. C. A.

Pocztówka z Karkonoszy

Jelenia Góra

Adiemu Ciechanowieckiemu

Już ani śladu po jeleniach.
Cienie w podcieniach.

Trzy okna w rzędzie i gipsatury,
troszeczkę ciasno w starej uliczce —
lecz nadal stoją przytulne mury
i są serdeczne, gdy ktoś wyszepcze:
„Jakże tu ślicznie!"

A potem wieczór: — ciepłe okienka
hodują wróble i szrony —
nad nimi chmura pulchna i miękka —
to góry nocą ułagodzone.
W brzydkim kinie sam na sam z filmem,
ekran siny jak dusza rybia,
a stary film jest starym winem:
usypia.
Wkońcu makieta się zmienia —
cienie w podcieniach.

Polsce wielu zabrakło mieścin —
niech ich urok tu się pomieści ,
tu gdzie stał pożar chciwy nad miastem,
daleko — w wieku osiemnastym.

Księżyc wspiął się na hotel,
po kocich dachach elektroluksem.
Może go wyszabrują potem —
może usnę —
Dookoła snu są podcienie ..
W Jeleniej...

Ziemia rodzinna

Pogardliwa topola na rozstaju
w srebrnych wiórkach listków wciąż się dąsa.
Był zielony wiatr, lecz się oddalił
i przywiała zima świecąca.

Gwiazdy wzeszły i bezmyślnie patrzą
na pustkowia, szrony i chłody.
Krzak samotny z trzepotem — jak jastrząb —
spadł na własny cień — i szarpie zdobycz!

Suną sterty — ociężałe woły,
wiatru gniew zjeżyły w swych czuprynach.
Po wsi drepczą chaty i stodoły
poprzez które chłopski sen przepłynął.

Tylko moich śladów nie zostało.
Tylko...
chyba to już wszystko.
Pogardliwa topola na rozstaju
pogubiła srebrne wiórka listków.

TadeuszChrzanowski

Karol Zajczniewski

z cyklu: Letnie spacery po Z. O.

TĘCZOWY REPORTAŻ

Było to w sierpniu. Szedłem ulicą Polską w Gdyni, kiedy nagle zwrócił moją uwagę niewielki napis na jednym z baraków: „Portowiec" — Spółdzielnia Prac. Portowych z odpowiedzialnością udziałami w Gdyni".

Zatrzymałem się prosząc stojącego przy baraku człowieka o bliższe informacje.

Zagadnięty był olbrzymem o wytatuowanych rękach, odzianym w niebieski kombinezon i w okrągły kaszkiet z kotwicą na guzikach, jaki noszą na Wybrzeżu robotnicy portowi. Przez chwilę patrzył na mnie podejrzliwie, po czym odpowiedział:

— Spółdzielnia panie. Spółdzielnia wszystkich robotników portowych.

— Wszystkich?

— A tak. Z Gdyni i Gdańska. Największa spółdzielnia pracy na świecie.

— Ejże... — nastawiłem uszu, pełen powątpiewania.

— Jakże nie? — robotnik żachnął się, wyraźnie urażony. — Jak pan nie wierzysz, to się pan spytaj kogo chcesz.

EKSPERYMENT NA SKALĘ ŚWIATOWĄ

Mój rozmówca miał rację. Opinię jego powtórzyli mi wszyscy członkowie Zarządu Spółdzielni, do których zwracałem się z interpelacją.

Kiedy dopytywałem się o historię spółdzielni, podsunięto mi jakiś odbity na powielaczu memoriał, z którego dowiedziałem się, że:

„...„Portowiec" nie powstał jako organizacja grupki robotników portowych, pragnących polepszenia swej sytuacji, lecz powstał z inicjatywy wielostronnej: odgórnej (Ministrowie Żeglugi oraz Pracy i Opieki Społecznej) i oddolnie (Związek Zawodowy Transportowców itp.) dla rozwiązania w ogóle problemu prac portowych w Gdyni i Gdańsku. Problem ten zawiera się w następującym:

1. Dać najlepsze warunki pracy i płacy robotnikowi.

2. Podnieść sprawność wykonania prac portowych.

3. Obniżyć koszt przeładunku i usług portów polskich.

Fakt, że do rozwiązania tego problemu została przyjęta właśnie forma spółdzielni pracy świadczy o dużym zaufaniu, jakie do niej mają czynniki rządowe. Istniejące dotychczas małe spółdzielnie prac. portowych („Bałtyk" „Foreman" „Konwojent") były precedensem, dowodzącym realności takiej formy na terenie portu. Nowoutworzona spółdzielnia różnić się jednak miała od nich swoim uniwersalnym charakterem (dla skutecznego rozwiązania problemu pracy musi zrzeszać wszystkich robotników portowych Gdyni i Gdańska, a więc ponad 3.000 ludzi).

O tym, jak bardzo inicjatywa utworzenia spółdzielni odpowiadała woli robotników portowych, świadczy jej szybki rozrost. Na zebranie założycielskie w dniu 10 stycznia 1948 r. zeszło się 32 członków — założycieli, przeważnie działaczy zawodowych społecznych i aktywistów partyjnych. Ale już w cztery miesiące później, 7 maja, spółdzielnia liczyła 820 członków, a 3 lipca — 2221 członków, w tym około 1,5 tys. z Gdyni i około 700 z Gdańska — Nowego Portu. Pod koniec sierpnia spółdzielnia zrzesza już ponad 3.000 członków, a więc prawie wszystkich robotników portowych Wybrzeża. Zaznaczyć przy tym należy, że ten masowy napływ członków był całkiem spontaniczny, bez jakiejkolwiek presji, a nawet propagandy ze strony spółdzielni.

Ogrom spółdzielni, poważne zadania socjalno - gospodarcze, powierzone jej przez państwo do samorządnego wykonywania wysuwają ją daleko naprzód poza wszystkie tego rodzaju próby za granicą. Najbliższa jej charakterem jest włoska spółdzielnia pracy marynarzy i robotników portowych „Garibaldi", ale i ta ponoć ustępuje gigantycznym rozmiarom polskiego „Portowca". Jest to więc eksperyment na skalę światową. Eksperyment przypominający zakłady Zeissa w Jena, tylko w innej formacji społeczno-gospodarczej realizowany. Eksperyment, który dokonuje się w zupełnej ciszy, eksperyment całkowicie nieznany.

ORGANIZACJA WEWNĘTRZNA

Członkiem spółdzielni może być każdy robotnik portowy, mający kwalifikacje zawodowe, stwierdzone posiadaniem tzw. karty portowej. W tym przepisie statutu, wykluczającym od członkowstwa pracowników umysłowych, leży z jednej strony obawa przed opanowaniem spółdzielni przez elementy inteligenckie (co miało miejsce w pewnym stopniu w spółdzielni „Bałtyk"), z drugiej wiara w zdolności organizacyjne i społeczną dojrzałość robotnika.

Zarząd spółdzielni składa się więc z samych robotników portowych. Pracownicy administracyjni „Portowca" — księgowi, biuraliści, stenotypistki itp. — są tylko biurem robotniczego zarządu. Niemniej statut gwarantuje im własne prawa, włączając ich jako odrębną grupę do pracowniczego samorządu.

Przystępujący do spółdzielni członek deklaruje co najmniej jeden udział w wysokości 5.000 zł, który zostaje rozbity na 100 tygodniowych rat i potrącany przy wypłatach tygodniowych. Za zobowiązania spółdzielni członek odpowiada tylko swoim udziałem. W razie likwidacji spółdzielni następuje zwrot udziałów.

Najwyższą władzą spółdzielni jest Walne Zgromadzenie wszystkich członków. Absurdem jednak byłoby prowadzenie dyskusji i podejmowanie uchwał w tłumie trzytysięcznym. Dlatego statut przewiduje system przedstawicielstwa. Każdy zespół pracowniczy, nie przekraczający 36 ludzi, wybiera spośród siebie w drodze tajnego głosowania przedstawiciela, którego wysyła na Walne Zgromadzenie.

Doroczne Walne Zgromadzenie wybiera w drodze tajnego głosowania pięcioosobowy Zarząd oraz dziewięcioosobową Radę Nadzorczą. Aby uniemożliwić wytworzenie się przy władzy trudnych do usunięcia koterii statut przewiduje kadencję jednoroczną oraz możność usunięcia poszczególnych członków przez Walne Zgromadzenie jeszcze przed upływem kadencji. Zadaniem Zarządu jest prowadzenie spraw spółdzielni w ramach odpowiednich przepisów ustawowych, statutowych i regulaminowych. Członkowie Zarządu — ze względu na niemożliwość połączenia ich funkcji z pracą w porcie — otrzymują wynagrodzenie ze spółdzielni, przy czym wg. statutu „łączny zarobek członka Zarządu za pracę w spółdzielni może przewyższać najwyżej o 25 proc. jego normalny zarobek pracowniczy." Kontrolę nad Zarządem prócz Walnego Zgromadzenia sprawuje Rada Nadzorcza, pracująca honorowo, oraz Centrala Spółdzielni Pracy (dawniej Związek Rewizyjny Spółdzielni R. P.), w której spółdzielnia jest zarejestrowana.

PROBLEM KARDYNALNY — PEŁNE ZATRUDNIENIE

Robotnik portowy znajduje się w pewnym stopniu w położeniu robotnika sezonowego. Popyt na jego pracę ze strony firm spedycyjnych jest każdej chwili zmienny, uwarunkowany ilością przeładunku w porcie, powiązany z całym szeregiem czynników międzynarodowych, jak strajki w portach zagranicznych, sytuacja polityczna itp. To wyklucza jakiekolwiek planowanie. Problem pracy rozwiązany jest w ten sposób, że robotnicy podzieleni na 3 ośmiogodzinne zmiany zgłaszają się codzień do specjalnego oddziału Urzędu Zatrudnienia. Tu część ich zostaje skierowana do prac w firmach spedycyjnych, które uprzednio zapotrzebowanie na robotników zgłosiły. Pozostaje część druga, dla której w danym dniu nie ma pracy. Wielkość jej niepomiernie rosnąca w miesiącach zimowych, maleje wiosną i latem, jest trudna do uchwycenia. Czasem zdarza się nawet, że wskutek wielkiego ruchu statków liczba robotników portowych okazuje się za mała, wobec czego sięgnąć trzeba po rezerwy. Ale jest to wypadek wyjątkowy. Regułą jest niepełne zatrudnienie. Jak tego uniknąć? Oto kardynalny problem polityki zatrudnienia w porcie.

Rozwiązanie jego spada dzisiaj na spółdzielnię. Wszak wyraźnie mówi o tym statut każdej spółdzielni pracy:

„Celem Spółdzielni jest zatrudnienie zarobkowe przez siebie swoich członków w zakresie ich umiejętności zawodowych... W sposób jak najkorzystniejszy dla nich i dla społeczeństwa, z wykluczeniem wyzysku, poniżenia i znieprawienia pracy".

Dotychczas zastosowane zostały następujące metody, mające zapewnić większą równowagę między stałą podażą pracy a zmiennym na nią popytem:

1. Wspólna polityka zatrudnienia portów.

W wypadku zapotrzebowania na pracę, przewyższającą możliwości jednego portu, przerzuca się tam robotników z portu drugiego. Przerzuty te, dokonywane za pomocą samochodów ciężarowych, zorganizowane zostały przez spółdzielnię.

2. Racjonalny plan urlopów. Przerzucając większą ilość urlopów robotniczych na zimę, kiedy natężenie prac słabnie, wpływa się — aczkolwiek w małym stopniu — na zmniejszenie okresowego bezrobocia.

3. Kolejność zatrudnienia wszystkich robotników, która jest zasadą, panującą w Urzędzie Zatrudnienia. Tą drogą ryzyko niezatrudnienia rozłożone jest na wszystkich. Aby mieć większą gwarancję dopilnowania kolejności, robotnicy portowi wystąpili z żądaniem nadzoru jej przez własny samorząd. Każda zmiana w Urzędzie Zatrudnienia ma wybierać jednego delegata, który asystuje przy kierowaniu do pracy i kontroluje kolejność.

4. Ostateczny zastosowany dziś środek, polegający na zagwarantowaniu przez układ zbiorowy robotnikom, dla których tego dnia brak pracy, prawa do wynagrodzenia w wysokości 75 proc normalnej płacy dniówkowej. Koszty te ponoszą firmy spedycyjne, zatrudniające robotników portowych.

Wydawałoby się, że koszty te są z ich punktu widzenia bezproduktywne i że firmy w swojej polityce powinny dążyć do redukcji ogólnej liczby robotników, aby tą drogą obniżyć liczbę niezatrudnionych. Tymczasem firmy spedycyjne chętnie godzą się na utrzymywanie na tych samych prawach rezerwy robotniczej w ilości 25 proc. robotników portowych. Wynika to ze szczególnego charakteru umowy firmy spedycyjnej z armatorem tzw. charteru, który przewiduje w razie zwłoki w przeładunku zapłatę przez firmę spedycyjną odszkodowania. Wysokość jego, zważywszy przy tym, że będzie płacone dewizami jest tak wielka, że bardziej kalkuluje się firmie łożyć na utrzymanie niezatrudnionych i rezerwy, mając przez to gwarancję uniknięcia zwłoki.

Po 75-cioprocentowe wynagrodzenie za gotowość do pracy zwraca się robotnik do specjalnej instytucji, zwanej Funduszem Wyrównawczym. Obecnie, po przejęciu jej przez spółdzielnię, wypłaty realizuje ta ostatnia. Równocześnie prowadzi spółdzielnia centralną kasę wypłat, gdzie robotnicy otrzymują co piątku należności, wypracowane w różnych firmach spedycyjnych, oraz realizuje za dopłaty i ekwiwalenty, uiszczane przez pracodawców świadczenia wynikające z ustawy i układu zbiorowego, jak stołówki, urlopy, bilety do łaźni i teatru, przejazdy itp.

Ale i ten środek, pomimo swego radykalnego charakteru, nie jest w pełni wystarczający. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że płaca dniówkowa robotnika portowego jest w ogóle niska (zasadniczo 228 zł.), że 75-cioprocentowe wynagrodzenie niezatrudnionego wynosi więc 170 zł, że — według statystyki z ostatniego roku — robotnik zatrudniony jest na tydzień przeciętnie tylko 4,5 dnia, zrozumiemy wtedy, jak poważnym zagadnieniem socjalnym jest brak pełnego zatrudnienia robotnika portowego i jak obniża on — i tak niepokojąco niski — budżet rodziny robotniczej.

IDEA PRAC ZASTĘPCZYCH

W spółdzielni powstała myśl, aby robotników, dla których w danym dniu brakło pracy zatrudnić przy innych niż przeładunek robotach. Roboty te musiałyby być blisko portu, musiałyby angażować większą i zmienną ilość ludzi, musiałyby, nie być pilne i nie wymagać specjalnych kwalifikacji (ponieważ będą wykonywane stale przez innych robotników). Tak zrodziła się idea prac zastępczych, które wprowadzone przez spółdzielnię przyczyniły się do podniesienia budżetu robotniczego. Niezatrudnieni przy przeładunku, zamiast pobierać 170 zł. za gotowość do pracy angażowani są do prac zastępczych, gdzie otrzymują 400 zł. dniówki. Przy tym spółdzielnia wyszukuje takie prace, które związane są z porządkowaniem portu lub mają przynieść korzyści robotnikowi portowemu. I tak w czasie od 11 maja do 15 czerwca na terenie Gdyni i Gdańska oczyszczono 790 m ulic i kanałów, wywieziono 1321 m³ gruzu, splantowano 19580 m² placu i oczyszczono 10500 sztuk cegły, przeznaczonej na budowę domów robotniczych, zebrano 195790 kg złomu. Razem wypłacono za prace w tym czasie 4122 dniówek roboczych. Spółdzielnia otrzymała od Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej specjalny kredyt na prace zastępcze, co umożliwi ich rozbudowę.

Ciężka do rozstrzygnięcia jest kwestia prac zastępczych w zimie, kiedy z jednej strony silnie wzrasta liczba niezatrudnionych, z drugiej nieaktualne stają się wszelkie roboty ziemne i rozbiórkowe. Ale i na to znalazł się sposób. Wiąże się on z drugą akcją, podjętą przez spółdzielnię — akcją budownictwa domów robotniczych. Otóż powstał pomysł, aby w zimie uruchomić zakłady, produkujące pod dachem elementy budowlane — belki betonowe, płyty, pustaki itp., potrzebne do budowy domów. Zakłady te z jednej strony zatrudniać mają samych robotników w ciężkim dla nich okresie zimowym, z drugiej przez eliminację zarobków przedsiębiorstw budowlanych obniżyłyby koszty budowanych domów.

Robotnicy portowi z „Portowca" chlubią się uruchomieniem prac zastępczych. Zorganizowali je przecież sami. Zorganizowali po swojemu. W stołówce przysiadł się kiedyś do nas postawny mężczyzna o typowym wyglądzie robotnika polskiego.

— Coś mi się widzi, że nasze normy dla prac zastępczych są zbyt wysokie. 600 cegieł do oczyszczenia na dzień, wraz ze zdjęciem z niewysokiego muru i wywózką, to za wiele. Dobrze jeszcze, jeżeli słaba zaprawa wapienna, ale z cementową gorzej. Dlatego postanowiliśmy z Gonerą przepracować jutro dniówkę według tych norm i zobaczyć czy nie za wielkie.

Mówiący jest członkiem Rady Nadzorczej. Ob. Gonera jest członkiem Zarządu. Nasz rozmówca kończy z uśmiechem:

— Bo nic się dobrze nie ustali, jak się samemu nie zazna.

WOLNOŚĆ OD WYZYSKU

„Spedytorzy celowo i świadomie krzywdzą robotnika portowego... przez niestosowanie stawek, ujętych umową zbiorową lub tabelą akordową, opracowaną przez spedytorów i robotników portowych..." — tymi słowami rozpoczyna się zbiorowy memoriał pt. „Nasze bolączki", opracowany prze robotników portowych w maju br.

— Ja jestem robotnikiem portowym od 2 lat — mówi pierwszy napotkany robotnik. — Napatrzyłem się też, panie, na ten wyzysk firm spedycyjnych. Bywało, brał przed wojną spedytor za przeładunek 110.000 zł, a wypłacał z tego robotnikom 10 — 20 tysięcy. A jak trzydzieści wypłacił, to już narzekał, że mu za mało. A gdzie szła reszta? Na administrację, na dźwigi?

Pomijam kwestię, o ile ścisłe są te obliczenia. Chodzi mi o tendencję. Praca w porcie jest ciężka, zdzierająca zdrowie. Robotnik portowy często przenosi na plecach w ciągu ośmiogodzinnej szychty 25 ton. Aby się wdrożyć do tak wielkiego wysiłku trzeba kilku lat. Stąd niesłychanie silnie występuje u niego poczucie dysproporcji między nędznymi zarobkami, a ciężką, zżerającą siły pracą, niejasna świadomość, że ktoś robi na jego wysiłku złote interesy, głuchy bunt przeciw krzywdzie. Dlatego port był zawsze terenem ostrych konfliktów socjalnych, walka klasowa osiągała temperaturę bardzo wysoką.

Koncepcja rządowa, powołująca do życia „Portowiec", przewiduje z czasem stopniowe przejęcie z rąk spedytorów prywatnych całości prac w obu portach. Prace te objąć ma spółdzielnia, co wypowiada jej statut:

„§ 4. Dla osiągnięcia swych celów spółdzielnia:

a) podejmuje dla osób trzecich wykonywanie fizycznych prac portowych (załadunek, wyładunek, magazynowanie) we własnym imieniu i na rachunek zleceniodawców..."

Ponieważ nowopowstająca spółdzielnia nie była w stanie natychmiast przejąć całości prac portowych, powołane zostało umową spółki z dn. 20.III.1948 r. państwowo-spółdzielcze przedsiębiorstwo pn. „Portorob", którego zadaniem miało być w zastępstwie spółdzielni „Portowiec" i na czas dopóki ona nie będzie mogła spełniać swoich zadań „wykonywanie wszelkich usług portowych w zakresie załadowania, wyładowania, przeładowywania tudzież magazynowania towarów". Głównym udziałowcem spółki „Portorob" jest spółdzielnia „Portowiec" (3000 udziałów na ogólną liczbę 8390). „Portorob" spełnia więc — mówiąc słowami jego dyrektora — funkcję fachowego administratora majątku, należącego do „Portowca". Charakter ten przejawia się najsilniej w postanowieniu § 15 umowy spółki, który przewiduje:

„Po ustaleniu odpisów na kapitał zapasowy i rezerwowy — resztą zysku będzie przeznaczona na cele socjalne Spółdzielni „Portowiec"..."

Fakt utworzenia spółdzielni i „Portorobu" jako jej administratora może pociągnąć za sobą doniosłe następstwa. Wydaje się, że nastawienie psychiczne robotników zaczyna ulegać zmianie. Przyjmuje się stopniowo przekonanie, że port jest ich wspólnym dobrem, że muszą o niego dbać.

— Ta taczka, wózek, szipa — pochwyciłem fragment przemówienia na jakimś zebraniu członkowskim — choć na nich napisane „Portorob", to nie jest własność „Portorobu", ale nasza, towarzysze, robotników portowych, bo dla nas pracuje „Portorob". Dlatego oszczędzajmy je, towarzysze, bo niszcząc je, wyrządzamy szkodę nam samym.

Co czyni spółdzielnia z zyskami, wpływającymi do niej?

Przede wszystkim spółdzielnia pracy ma na celu nie zysk, ale zapewnienie członkom stałego i korzystnego zatrudnienia zarobkowego. Z tego powodu okazuje zawsze tendencję do podnoszenia płac pracowniczych, ilekroć dochody jej na to pozwalają. Niemniej — zgodnie z zasadami prawidłowej gospodarki — zawsze istnieje pewna nadwyżka. W „Portowcu" wynosi ona dotychczas około 7 milionów miesięcznie, nie licząc dochodów z „Portorobu". Sposób rozdziału tej nadwyżki określa § 58 statutu spółdzielni.

„Po zatwierdzeniu bilansu przez Walne Zgromadzenie czysta nadwyżka po pokryciu wszystkich wydatków i strat zostaje podzielona przez Walne Zgromadzenie w sposób następujący:

a) nie mniej niż 50% na fundusz zasobowy,

b) najwyżej 40% może być przeznaczone na wyrównanie zarobków między osoby, które pracą swoją w Spółdzielni przyczyniły się do powstania nadwyżki; podział dokonywa się w jednakowym dla wszystkich pracowników stosunku procentowym do osiągniętych przez każdego w okresie sprawozdawczym zarobków,

c) co najmniej 10% pozostaje do dyspozycji Walnego Zgromadzenia, ale nie może być przeznaczone na cele Spółdzielni lub potrzeby jej członków,

d) ewentualna pozostałość — do dyspozycji Walnego Zgromadzenia na własne cele społeczne Spółdzielni lub na wspólne potrzeby jej pracowników."

Tych korzyści nie może nie dostrzec robotnik portowy. Dlatego w takim tempie przybywają spółdzielni nowi członkowie. Dlatego zebrania członkowskie w magazynach, świetlicach i poczekalniach Urzędów Zatrudnienia rozbrzmiewają takimi wypowiedziami:

— Towarzysze i koledzy, musimy się zastanowić co to jest spółdzielnia. Spółdzielnia, towarzysze i koledzy, to jest wtedy, jak na przykład 1000 robotników łączy się razem w fabryce i po dwóch — trzech latach uniezależniają się od kapitalisty, a fabryka przechodzi na nich...

DOMY, OGRÓDKI, ŚWIETLICE

Sytuacja mieszkaniowa na Wybrzeżu nie jest lepsza niż w innych dzielnicach Polski Centralnej. Trudności mieszkaniowe spadają w pierwszym rzędzie na robotnika portowego. Większość z nich mieszka na przedmieściach i w podmiejskich miejscowościach, jak Chylonia, Cisowa, Grabowek, Orłowo; są tacy, którzy dojeżdżają nawet z Rumii i Wejherowa. Ale i ci, którzy mieszkają blisko portu, nie mają lepszych warunków, gnieżdżąc się z reguły w suterynach i na poddaszach.

— Widziałem mieszkania — opowiadał sekretarz Zarządu Kawiak — których szukać trzeba było poomacku; po jednej stronie piwnica na węgiel, po drugiej mieszka robotnik portowy. Albo inne mieszkanie: nie mogłem go znaleźć, bo dom bez numeru — kupa gruzu. Schodzi się poomacku w dół, tunelem między gruzami. Wszystko może się lada chwila zawalić, ledwie podparte cegłami. W takim ciemnym i zaciekającym mieszkaniu stoją dwa łóżka, stół, mieszka robotnik portowy z żoną i dwojgiem dzieci. Dzieci chodzą do szkoły i odrabiają lekcje...

Dlatego już w pierwszych miesiącach swego istnienia wysunęła spółdzielna inicjatywę budowy zdrowych i przestronnych mieszkań dla rodzin robotniczych. Uzyskane na ten cel kredyty z Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej umożliwiają planowanie na większą skalę. Aby obniżyć koszty i oddać do użytku jak najszybciej dużą ilość mieszkań nie buduje się w pierwszym etapie nowych domów, ale odbudowuje wypalone i częściowo zniszczone. I tak do końca 1948 r. „Portowiec" ma dostarczyć swoim członkom 63 mieszkań jednorodzinnych w Gdyni, Sopocie i Gdańsku, zaś w roku następnym — 130 mieszkań. Przygotowanie terenu, rozbiórka starych domów i uzyskanie tą drogą materiałów budowlanych, a w przyszłości według projektów także i produkcja elementów budowlanych będzie treścią prac zastępczych. Mieszkania, przeznaczone dla najbardziej potrzebujących, przydzielane mają być przez specjalną komisję lokalową, wybrana na Walnym Zgromadzeniu spośród najuczciwszych i cieszących się największym zaufaniem robotników. W dalszej przyszłości leży w planach spółdzielni budowa w latach 1950 — 55 dwu kolonii robotniczych: jednej — dla Gdyni — w okolicach Redłowa, drugiej — dla Gdańska — między Brzeznem a Nowym Portem. Kolonie te dałyby łącznie 412 nowych mieszkań. Leżąc poza miastem, połączone byłyby z nim komunikacją trolleybusową.

Charakterystyczne jest, że w dyskusji nad tym, czy mieszkania mają być w wielkich blokach, czy w domkach jednorodzinnych, zdecydowana większość robotników wypowiedziała się za jednorodzinnymi domkami z ogródkiem, które by po pewnym czasie przechodziły na własność użytkującego. Stosując się do tych nastrojów przygotowuje spółdzielnia za pomocą prac zastępczych tereny pod 1000 ogródków działkowych dla robotników Gdyni na Grabowku i pod Orłowem oraz 600 ogródków działkowych dla robotników Gdańska między Brzeznem a Nowym Portem. Ogródki liczyłyby po 400 m² powierzchni i zaopatrując rodzinę robotnika w warzywa stanowiłyby niewątpliwie odciążenie jej budżetu. Niezależnie od tego przystępuje spółdzielnia do innych prac, jak urządzenie boiska sportowego w Nowym Porcie, jak planowana na rok 1949 budowa 4 poczekalni dla robotników w miejscu ich pracy, jak budowa 2 żłobków dziecięcych, 2 przedszkoli, świetlic, stołówek itd.

Wszystkie te prace są typowym przejawem spółdzielczej zaradności zbiorowej. Zamiast czekać, aż im ktoś mieszkania odbuduje, robotnicy przystępują do odbudowy sami. Zamiast czekać na lepsze warunki robotnicy organizują się i wspólnie, własnymi siłami polepszają swój byt. W tym mieści się cały sens „Portowca", w tym mieści się istota spółdzielczości pracy.

„Samorządny, robotniczy charakter Spółdzielni — czytamy w planie prac „Portowca" — jest najlepszą rękojmią, że wszelkie te prace będą wykonywane zgodnie z interesem wszystkich zrzeszonych w Spółdzielni robotników portowych."

SAMORZĄD PRACOWNICZY

Istotą spółdzielni jest samorząd. Spółdzielnia pozbawiona samorządu przestaje być spółdzielnią.

Samorząd w „Portowcu" przejawia się nie tylko w najwyższej władzy Walnego Zgromadzenia, w obieralności i odwołalności Zarządu i Rady Nadzorczej, w tajności głosowania i krótkich kadencjach władz. Przejawia się jeszcze w instytucji, która pomyślana jest jako narzędzie panowania masy członkowskiej nad wybranymi przez nią władzami. Tą instytucją jest samorząd pracowniczy.

Doświadczenia wykazały, że wraz z zwiększaniem liczby członków spółdzielnia wyrodnieje, ponieważ zanika w niej samorząd. Im bardziej wzrasta liczebnie masa członkowska, tym staje się automatycznie mniej aktywna i — zjawisko paradoksalne — łatwiejsza do opanowania. Da się to wytłumaczyć z jednej strony wzrastającą wraz z liczbą członków trudnością prowadzenia obrad, z drugiej skomplikowaniem i trudnością kierowania sprawami wielkiej spółdzielni, w których szaremu członkowi nie łatwo się połapać. Wyrodnienie spółdzielni wielkich, w których następowała z reguły dyktatura Zarządu lub świadomej mniejszości było przyczyną, że uznawało się spółdzielczość pracy za odpowiednią formę tylko dla małych przedsiębiorstw usługowych i przemysłowych.

Wyłomem w tych przekonaniach jest utworzenie „Portowca". Jest całkiem oczywiste, że wykazane wyżej niebezpieczeństwo grozi mu w stopniu daleko wyższym niż jakiejkolwiek innej spółdzielni. Zarazem jednak „Portowiec" ma możność jego uniknięcia przez zastosowanie zupełnie nowej zasady organizacyjnej — zasady wielostopniowości samorządu pracowniczego.

Założenia jej wynikają z długoletnich doświadczeń w większych spółdzielniach pracy. Łatwo opanować Zarządowi (jeżeli tego pragnie) masę członkowską niezorganizowaną i bezradną — nie da się opanować masy wewnętrznie zorganizowanej i zdolnej do wykazywania zaradności zbiorowej. Aktywność członków jest wyższa w zespołach małych i przy sprawach, które są im bliższe. Wypływa stąd pryncypalny postulat decentralizacji samorządu w małych, powiązanych z sobą zespołach, których podstawą jest wspólny teren pracy i wspólne interesy. Zespoły tworzą się dobrowolnie i mogą być zmienne zarówno co do liczby jak i osób członków. Jeżeli jakaś sprawa nie może być załatwiona w ramach zespołu, zespół deleguje jednego członka do załatwienia jej w porozumieniu z innymi zespołami.

Bliższe dane o tym systemie podają nam „Zasady organizacyjne robotniczego samorządu spółdzielczego" spółdzielni „Portowiec":

„1. Zadaniem samorządu spółdzielczego „Portowca" jest wciągnięcie wszystkich jego członków — robotników portowych do czynnego udziału w załatwianiu ich wspólnych spraw i bolączek na drodze zaradności zbiorowej. Tym samym ma on tworzyć mocny i trwały łącznik między władzami Spółdzielni a liczną rzeszą jej członków.

2. Samorząd ten składa się z licznych, wzajemnie powiązanych, małych, jednorodnych i samorządnych komórek organizacyjnych, w ramach których urzeczywistnia się czynna współpraca członków nad załatwieniem wspólnych spraw.

3. Struktura samorządu spółdzielczego „Portowca" przedstawia się następująco:

a) Robotnicy portowi — członkowie Spółdzielni dobrowolnie zrzeszają się w małe, jednorodne zawodowe i samorządne drużyny (6—10 osób). Drużyny te są zmienne co do swego składu osobowego i liczebności. O przystąpieniu lub wystąpieniu (wzgl. wykluczeniu) z drużyny decyduje wola danego osobnika względnie uchwała członków drużyny. Każda drużyna deleguje swego przedstawiciela (drużynowego) do wyższego organu samorządu spółdzielczego (Rada Zespołowa), który może być jednak każdej chwili przez nią odwołany i zastąpiony innym."

3 do 5 drużyn łączy się w tzw. zespół, na czele którego stoi Rada Zespołowa, złożona z drużynowych. Wyższą komórką organizacyjną jest zmiana (u robotników zapośredniczanych przez Urząd Zatrudnienia) lub odcinek (u robotników stałych „Portorobu"), na czele których stoi Rada Zmiany wzgl. Odcinka, złożone z zespołowych. Najwyższym organem samorządu pracowniczego w danym porcie jest Rada Pracy. Prezydia, wyłonione z obu Rad Pracy (Gdynia i Gdańsk — Nowy Port) tworzą razem Naczelną Radę Robotników Portowych, do której mają wejść również przedstawiciele ruchu zawodowego.

Według § 50 statutu „na wszystkich szczeblach organizacyjnych Samorządu Pracy obowiązują następujące wspólne zasady:

a) delegaci działają w myśl instrukcji, otrzymanych od zespołu wyborczego,

b) delegaci obowiązani są składać swym wyborcom sprawozdania z wykonania zleceń."

Rada Pracy jest organem doradczym, opiniodawczym oraz łącznikiem między zorganizowanymi w samorząd pracowniczy członkami a władzami spółdzielni. Faktycznie jest ona najpewniejszym narzędziem panowania masy członkowskiej nad władzami, ponieważ jest przez nią wyłaniana, i odwoływana, obarczana instrukcjami i obowiązana do ich wykonania. Ponadto członkowie Rady Pracy — jak wszyscy delegaci samorządu robotniczego — pracują w porcie i nie otrzymują żadnego wynagrodzenia oprócz odszkodowania za stracone dni pracy i przejazdy. Daje im to stały i bezpośredni kontakt z masą członkowską (którego pozbawieni są członkowie Zarządu), niezależność od władz spółdzielni i co za tym idzie — zaufanie członków.

W chwili obecnej przeciwstawienie Zarząd — masa członkowska jest na terenie „Portowca" czczym teoretyzowaniem. Kilkumiesięczna współpraca nie ujawniła żadnych rozdźwięków i z całą pewnością w dalszej przyszłości nie ujawni. Pewność płynie z tego, że Zarząd cieszy się zaufaniem masy członkowskiej i nie czuje się niczym innym jak odpowiedzialnym pełnomocnikiem do działania w jej interesie.

Wierzę, że szczere były słowa tego członka Zarządu, który na zebraniu członkowskim wołał:

— Jeżeli uważacie, że waszych interesów bronimy źle, jeżeli uważacie, że nie nadajemy się na nasze stanowiska, jeżeli widzicie wśród siebie ludzi, którzy tę pracę wykonają lepiej, proszę — wybierzcie ich w nasze miejsce, a my wtedy pójdziemy do portu dźwigać worki...

WYELIMINOWANIE BIUROKRACJI

Najdoskonalszy nawet ustrój społeczno-gospodarczy wraz z najbardziej precyzyjną organizacja we-

wnętrzna przedsiębiorstwa są fikcją, jeżeli jego założenia nie są wykonywane w praktyce codziennej. W najsprawniej działającym aparacie administracyjno-technicznym zawsze istniały i istnieć będą wypadki nieprzestrzegania ustawy i układu zbiorowego przez przeoczenie lub niedbalstwo personelu kierowniczego, nie mówiąc już o świadomym obejściu tych przepisów i o złej woli poszczególnych osób.

Port nie jest pod tym względem wyjątkiem. Robotnicy zebrali wszystkie te świadome i nieświadome wykroczenia przeciw obowiązującym przepisom i przeciw interesom pracownika w obszerny memoriał pn. „Nasze bolączki" i wręczyli go w maju b. r. tworzącej się spółdzielni, licząc na jej interwencję. Nie sposób tu podać wszystkich skarg, ograniczymy się do fragmentów:

Przede wszystkim szeroko potraktowane są wypadki niestosowania stawek z układu zbiorowego i tabeli akordowej. N. p. „Balsped: nie zapłacił 50% dodatku za sobotnie dwie godziny i po interwencji zapłacono tylko 3 robotnikom, a reszta nie dostała danej należności." „C. Hartwig — płacił do dn. 20.IV.48 starą stawkę akordową i dopiero po interwencji robotników portowych zrobiono listę dodatkową wg nowej tabeli, ale i tu robotnik nie jest pewny, że zapłacono mu w 100%."

„Odzież ochronna — czytamy w innym miejscu — obuwie, rękawice, maski, kaptury nie są stosowane przez spedytorów, w zamian za co robotnik otrzymuje wynagrodzenie, ale tylko marne. Gdy odzież jest stosowana, to przeważnie brudna, podarta i niehigieniczna i zmusza się robotnika do ubierania. Jeżeli odmawia, nie ma prawa upominać się o odzież, bo takowa jest."

Utworzenie państwowo-spółdzielczego przedsiębiorstwa „Portorob" wiele bolączek zlikwidowało, ale całkowite ich usunięcie jest niemożliwością. Na każdym zebraniu członkowskim występują robotnicy z coraz nowymi zażaleniami. Są to przeważnie sprawy drobne, ale dokuczliwe swoją częstotliwością. Na Wybrzeżu Polskim ekspedienci spóźniają się, przychodzą za kwadrans ósma; robotnicy muszą czekać z przodownikiem pod bramą, bo nikt im nie wyda towaru; stracili godzinę, bo akord mogą robić od ósmej. W Nowym Porcie dla grupy 30 robotników przysłano ze stołówki tylko 27 obiadów. Zgodnie z układem zbiorowym przysyłana jest na nabrzeża w czasie upałów herbata, ale przysyła się ją często wieczorem, kiedy spiekota przestaje dokuczać itd.

Nasuwa się pytanie: kto jest powołany do interwencji w podobnych wypadkach?

Doświadczenie wykazało niewielką skuteczność wszelkich interwencji odgórnych, kierowniczo-urzędniczych, stosowanych tak często przed wojną. Dyrektorzy i organy urzędnicze nie znali bolączek robotnika i nie byli zainteresowani w ich usunięciu, a ich obserwacje były powierzchowne. Trzeba by chyba utworzyć rozbudowany szeroko i kosztowny aparat kontroli. Byłoby to poważne całkiem niepotrzebne obciążenie kosztów produkcji. Któż bowiem lepiej je zauważy i wytrwalej będzie dążył do ich usunięcia jak nie zainteresowany bezpośrednio robotnik portowy?

Dlatego dużym krokiem naprzód w tej dziedzinie jest idea rad zakładowych jako przedstawicielstwa robotniczego, powołanego do ochrony interesów pracownika. Ale i one często okazują się w praktyce niewystarczające. W wielkich przedsiębiorstwach rada zakładowa — płatna i oderwana od warsztatu pracy — nie jest w stanie objąć całokształtu bolączek robotnika, ograniczając się z konieczności do interwencji w sprawach zgłoszonych, w praktyce jednak okazało się nieraz, że robotnik woli zrezygnować z dochodzenia swojej słusznej sprawy niż tracić czas na rozjazdy i czekanie w urzędach. Rzecz jasna, że bezkarność niedbalstwa i złej woli rozzuchwala tylko winnych. Koniecznym dalszym krokiem musi być więc decentralizacja samorządu w drobnych zespołach pracy i umożliwienie usunięcia bolączki w miejscu pracy i natychmiast.

Pamiętam, jak kiedyś moją rozmowę z sekretarzem Zarządu Kawiakiem przerwał telefon.

— Właśnie dzwonią mi z wybrzeża Rotterdamskiego — powiedział Kawiak, odłożywszy słuchawkę — że zabrakło im wody z miętą do picia. Widzi pan, jak przeciążony jest Zarząd. Do należytego załatwienia tych spraw musielibyśmy mieć chyba całe biuro.

I tu ujawnia się cała rewelacyjność zasady wielostopniowości samorządu. Po zorganizowaniu samorządu pracowniczego w interesie najniższej, bezpośrednio zainteresowanej komórki leżeć będzie natychmiastowe i własnymi siłami dokonane usunięcie zła. W wyniku eliminacji spraw drobnych, do organów najwyższych samorządu dotrą sprawy najistotniejsze.

Sprawa ma jeszcze jeden aspekt. Rozbudowany samorząd, stosując zamiast płatnej, urzędniczej pracy kontrolę społeczną zainteresowanych przyczynia się walnie do zlikwidowania biurokracji i obniżenia kosztów administracji i nadzoru. Dlatego nie jest przypadkiem, że koszty administracyjne „Portowca" nie przekraczają 5%, gdy np. państwowo-spółdzielczy „Portorob" wykazuje się 17%.

MAGAZYN II — CZOŁÓWKA SAMORZĄDU

Magazyn II. Długie hale z czerwonej cegły na Wybrzeżu Rotterdamskim. Za żelaznymi drzwiami ostry zaduch garbników, sterty posortowanych skór. Wzdłuż budynku tor kolejowy z długim szeregiem towarowych wagonów. W kanale przycumowany statek. Przeładunek ze statku na wagony i odwrotnie, magazynowanie i sortowanie skór to praca II-go Magazynu.

Magazyn II jest środowiskiem, z którego wyszedł Kawiak. Tutaj — na długo przed powstaniem spółdzielni — zrodził się samorząd robotniczy. Magazyn II zatrudnia dzisiaj ok. 50 robotników, płatnych stosunkowo lepiej niż inni. Nie wynika to jednak z jakiegoś uprzywilejowania ich pracy, ale jest skutkiem długiej i uciążliwej walki ze spedytorami o właściwe stawki akordowe.

— Myśmy zebrali się, zwąchali kim kto jest — opowiada Kawiak. — Postanowiliśmy wszyscy: „Nie będziemy patrzeć, bezczynnie. My, chłopcy, będziemy pracować nad naszym dobrem." Najpilniejsza była sprawa zarobków. Ale wiedzieliśmy, że do żądania podwyżki musi być odpowiednia podstawa. Magazyn wydelegował do tego zadania mnie. Ilem się wtedy nachodził wiedzą tylko koledzy, którzy pracowali za mnie w tym czasie. Ale się w końcu dowiedziałem: firmy spedycyjne zarabiały na nas prawie 90%. Mając już pewne dane można było sprawę stawiać mocno...

Wspólna walka zbratała ludzi z Magazynu II, nauczyła ich, że solidarność jest potężną bronią robotnika. Z narad nad poprawą zarobków, z wspólnych trosk o przeforsowanie własnych żądań zrodził się samorząd. Magazyn stał się jedną wielką rodziną.

Stopniowo samorząd opanował wewnętrzne stosunki w magazynie, likwidując prawie zupełnie penetrację firmy. Ponieważ firma faworyzowała jedną zmianę, dając jej lepszą pracę i wyższe zarobki, robotnicy uchwalają radykalną inowację: całą płacę przeznaczoną do wypłaty przejmuje do wspólnej kasy samorząd, a następnie dzieli między robotników wszystkich zmian proporcjonalnie do ilości przepracowanych godzin. Dalszą zmianą był podział na tzw. „kolony" czyli 9-cioosobowe zespoły pracy. Jest faktem nie ulegającym wątpliwości, że w dobrze dobranym zespole praca idzie bez porównania sprawniej niż w przypadkowym. „Kolona" jest więc dobrowolnym zgrupowaniem 9-ciu robotników, pragnących pracować razem.

Robotnicy Magazynu II przyjęli nowy system dobrowolnie i bardzo go chwalą.

— Czy pracujesz na akord czy na dziołkę — mówił na zebraniu członkowskim delegat Magazynu II Domański — wszystko zebrane razem i podział równy. Nie ma tak, że jeden ma lepszą pracę, a drugi gorszą. Przez to nikt się nie uchyla, jak jedni swoją robotę skończą to idą pomagać innym. I jeden drugiego pilnuje, żeby się nie obijał, i koledze co jest inwalidą dadzą lżejszą robotę. Niech magazyn zamiecie... A jak komuś wypadnie coś pilnego załatwić albo chory, wtedy zwraca się do nas: „Koledzy, ja jutro nie przyjdę, zastąpcie mnie". Decyduje nie przodownik — jak wszędzie — ale wszyscy. Jak się wszyscy zgodzą, jak on nie nadużywa, nie łazikuje, wtedy go zwolnią i robotę za niego zrobią. I przodownik ma przez to u nas lżej. Właściwie to moglibyśmy się bez niego obyć, sami rozdzielamy pracę między „kolony". Żeby było sprawiedliwie jedna robi w kanale, a cztery w magazynie i tak kolejno...

(Dokończenie na stronie 10)

Daniel Rops

CHRYSTUS I JEGO KRAJ

Artykuł poniższy został napisany przez Daniela Ropsa jako wstęp do życiorysu Chrystusa w opisie Ewangelistów.

Życiorys ten w oparciu o przekład Ewangelii i komentarze ks. prof. Eugeniusza Dąbrowskiego ukaże się wkrótce nakładem OO. Redemptorystów we Wrocławiu.

Istnieją miejscowości, w których duch już nie tylko „tchnie", ale staje się obecnością rzeczywistą, miejscowości, w których wspomnienie, podsycane szczegółami tekstów, ustawicznie odtwarza dawno minioną przeszłość. Są to miejsca święte; one mają rzeczywiście prawo powiedzieć: „Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami". Któż z wierzących nie pragnął miejsc tych poznać? Kto zwiedziwszy je, nie przechowuje ich obrazu w najgłębszym pokładzie swej świadomości, tam, gdzie zakotwiczone są przyzwolenia najgłębsze? Z tej świętej ziemi każdy przywozi doświadczenia osobiste, tak bardzo osobiste, że już prawie nie komunikatywne. Piotr Loti rozczarował się tu, Lamartine wzruszył aż do głębi duszy, ale prawdziwe przyczyny ich reakcji wymykają się nam i na pewno gdzie indziej niż w krajobrazie, zrozumienia ich szukać należy. Tu, w tym zakątku świata, gdzie rozegrał się dramat, w którym zaangażowany jest każdy człowiek, sama miejscowość bierze udział w aspiracjach duszy. Z tymi wzgórzami i z tymi horyzontami, także z tymi budynkami — nieraz okropnymi — każdy wiąże swoje rozmyślania osobiste, a uczucia, których tu doznajemy łączą się z najgłębszymi przyczynami jego własnej wiary lub zwątpienia.

Jednakowoż istnieje inny sposób spojrzenia na ten kraj Chrystusowy, sposób bardziej pogodny i mniej subiektywny. Każdy kto należycie czyta Ewangielię (zwłaszcza jeżeli rozumie, czym jest świadectwo literackie i znajomość geografii) widzi z całą oczywistością, że wszystkie cztery tkwią żywymi korzeniami w niezaprzeczalnej rzeczywistości. Styl ewangelicznych opowiadań ma dobrze znany zapach spraw i rzeczy najprostszych, zapach rozoranej ziemi, dojrzałego zboża, drzew okrytych owocem, wiatru przynoszącego poprzez jezioro oddech pustyni. Gdy Mateusz opowiada nam o strumieniach wzbierających pod naporem burzy i grożących fundamentom domów, gdy Jan kreśli nam postać Dobrego Pasterza, za którym idą posłuszne owce, gdyż znają jego wołający głos, najbardziej sceptyczny czytelnik nie może wątpić, że ma do czynienia z drobnymi faktami, zaobserwowanymi bezpośrednio, z faktami, które pisarz znał z doświadczenia osobistego. Tych konkretnych szczegółów mamy w Ewangelii ilość nieskończoną, a są one tak pełne prostoty i najoczywistszej prawdy, że mogą przyprawić o zwątpienie wszystkich naturalistycznych pisarzy świata; i te właśnie szczegóły choć może nie zdajemy sobie z tego sprawy — nadają czterem tekstom ewangelicznym ich zdumiewającą wiarygodność.

Czy bardzo się zmienił ten krajobraz palestyński od czasu, gdy rozentuzjazmowane tłumy szły za Mistrzem poprzez jego białe drogi? Pod wieloma względami pozostał podobny do obrazu przeszłości. Ramy przyrodzone pozostały oczywiście te same. I dziś patrzymy na ten sam rysunek wzgórz, na tę samą harmonię kolorów nad brzegami Jordanu, na ten sam podwójny ząb góry Hattin na północ od Tyberiady, na te same szare oliwki i rudą pustynię, na które patrzył Jezus. A czyż przez dwadzieścia wieków tak bardzo mógł się zmienić ruch rybaków, zarzucających sieci na tym, tak nam drogim jeziorze galilejskim, na którym spędził Pan tyle szczęśliwych dni. W każdym razie burza jest tu taka sama, jak ta, którą uśmierzył Jego głos, a wstające słońce kładzie na fiołkowych stokach góry Galaad takie same blaski, jakie kładło wtedy, gdy o świtaniu On modlił się tu do swego Ojca.

Roślinność zmieniła się bardzo niewiele; przybyły agawy, figi barbaryjskie, kukurydza; ubyło natomiast wiele drzew, na stokach górskich, które dewastacyjna gospodarka Turków tutaj — jak wszędzie — z lasów ogołociła. I mimo wszystko — nawet skupiska ludzkie przywodzą na myśl świętą Obecność: bo jeżeli nawet w Jerozolimie ślad potrójnej warstwy konstrukcji arabskich, fortyfikacje francuskie, a jeszcze bardziej niedyskretne budowle wzniesione przez chrześcijaństwo współczesne — zmieniły zasadniczo charakter miasta, które znał Jezus — to jednak odnajdujemy Go jeszcze w Ogrodzie Oliwnym, na drodze do Betanii i w wielu ulicach, dziś, jak ongiś, pnących się w górę stromymi schodami. Te bowiem na pewno nie zmieniły się od Jego czasów.

Tak więc znajomość fizyczna miejscowości palestyńskich, nawet jeżeli ogranicza się do tak skromnego środka poznania, jakim jest fotografia, przydaje czytaniu Ewangelii rezonansu szczególnego, rezonansu prawdy. Gdy się słyszy grzmiący głos Jana Chrzciciela, „głos wołający na puszczy" — „czyńcie proste ścieżki Pańskie" — trzeba sobie wyobrazić potężne zwały skał i kamieni, w okropnej okolicy między Jerozolimą a Morzem Martwym, poprzez którą, jak wyciągnięta wstęga rzucona jest droga, biegnąca do Jerycha. Gdy Jezus odpowiada na słowa Szymona „Ty jesteś opoka" to znowu ta gra słów wiąże się w sposób jakżeż naturalny z obrazem tych potężnych skał, które stanowią podwaliny góry Hermon. Ażeby zmierzyć uniżenie, w jakim chciał się urodzić Mesjasz, wystarczy zobaczyć jedną z tych naturalnych grot, których jeszcze dziś widzi się tyle w okolicy Betleemu, a które w dalszym ciągu — służą za schronienie dla bydła. I żeby pojąć szczegół tego lub owego cudu uzdrowienia paralityka, czy też nie wystarczy przyjrzeć się jednej z tych teras, w jakie są zaopatrzone tysiące palestyńskich domów, teras zrobionych z sitowia i trzciny. Czyż w takiej terasie trudno było zrobić otwór i wsunąć przezeń nosze z chorym?

Z tą znajomością dokładną, ze znajomości szczegółu, łączy się znajomość inna, bardziej tajemnicza, znajomość mająca w sobie coś z naturalnej symboliki. To, że kraj nad Jeziorem wraz ze swymi bystrymi wodami i rzędami zielonych drzew kojarzy się łatwo z obrazem wód chrzcielnych, lub, że Dżebel Qarantal, pełen przepaści i nagich skał łączy się ze wspomnieniem kuszenia, to coś więcej niż przypadek: wiąże się to z tą dobrze znaną tajemnicą, która polega na tym, że na mocy jakiegoś pierwotnego prawa pewne ludzkie dramaty są związane z pewnym typem krajobrazu. I tak dzieje się, ogólnie biorąc z całą Ziemią Świętą: uśmiechnięta, wesoła Galilea, pełna miękkich wzgórz i białych wiosek, złota od jęczmienia i zbóż, uśmiechnięta jeziorem, jest ściśle złączona z szczęśliwą częścią życia Jezusowego, z tym pierwszym rokiem, gdy jego posłannictwo spotkało się z dobrym przyjęciem i uznaniem. Surowa, człowiekowi wroga Judea jest ramą Jego cierpienia.

Czy oprócz bogactwa wrażeń, jakie daje krajobraz, możemy także znaleźć w Palestynie ekwiwalent tego, co znajduje w Grecji, czy Italii człowiek rozmiłowany w starożytnych cywilizacjach? Nie bardzo. W Palestynie nie ma takich wspaniałych wykopalisk, z których powstają jak żywe całe minione kultury i społeczności, nie ma tu ani Pompei, ani Delf, ani Delos.

Ale to nie znaczy, aby w Ziemi Świętej archeologia milczała. Gdy odkryje przed nami jedną z tych uliczek o stromych stopniach, pochodzącą z pierwszego wieku, ulicę, którą prawdopodobnie Jezus przechodził, lub gdy zwróci naszą uwagę na groby palestyńskie, do dziś jeszcze zamykane tym prostopadłym kamieniem, który święte niewiasty znalazły w wielkanocny ranek odsunięty na bok, to te szczegóły są dla nas bardzo wzruszające. A i inne odkrycia przynoszą w sposób najbardziej nieoczekiwany potwierdzenie świętych tekstów; oto pod fundamentami klasztoru Matki Boskiej z Sionu odnaleziono płyty wiodące do Pretorium Piłata, słynne Lithostrotos. Na tych płytach widnieją napisy gier, którymi zabawiali się żołnierze rzymscy, a znajdujący się wśród nich promienisty wieniec każe nam myśleć o koronie cierniowej. A w dzielnicy Bezetha wydobyta spod ziemi słynna sadzawka o pięciu krużgankach pozwoliła stwierdzić, że tekst ewangeliczny opisujący budowlę niepojętą i dziwaczną i tu także był wierny i nie pomylił się w niczym.

Pozostają jeszcze opory ludzi wrażliwych. Czyż podróżowanie po Palestynie, chociażby za pomocą fotografii, to nie zetknięcie się w pierwszym rzędzie z tą agresywną brzydotą, którą niezgrabna pobożność okryła święte miejsca? Nie posuwając się tak daleko, jak René Schwob, który twierdził, że mamy tu do czynienia z symbolem tego poniżenia, w jakim kochał się Bóg-Człowiek, musimy przyznać, że to przeładowanie złoceń i kosztownych kamieni, lamp i ikon, marmurów i porfirów (nie wspominając o poniżających kłótniach i rywalizacjach różnych liturgii) nie odpowiada często temu, czegośmy się spodziewali po ojczyźnie Tego, Który był cichy i pokornego serca. A mimo wszystko nawet i tu można odnaleźć ducha wiary, nie uciekając się do wyobraźni. Ileż to bowiem pokoleń wiernych tu, pod tymi zakopconymi sklepieniami, łączyło się w pobożności, ileż tysięcy wygładziło swymi kolanami kamienne płyty? Jakiż ogrom gorliwości i modlitwy przewalił się tędy! A to także jest obecność, obecność realna. Bo ostatecznie jeżeli historia, geografia, archeologia czy fotografia są naszymi przewodnikami po Ziemi Świętej — to ci przewodnicy doprowadzają nas zawsze jedynie do progu poznania. Ale próg ten przekroczyć są godni jedynie ci, którzy wobec niewypowiedzianej Obecności Pana potrafią z głębi serca powtórzyć za francuskim świętym: „On jest mi bardziej bliski, niż ja sam sobie bliski jestem".

Tłumaczenie **Z. St.-M.**

W kraju

DELEGACJA CKW PPS

W czasie ostatniego posiedzenia Rady Naczelnej PPS w dniu 22 września br., zaaprobowana została deklaracja uchwalona 17 bm. na posiedzeniu CKW PPS.

W deklaracji potępiono oportunizm, wymieniając jako jego reprezentantów w kierownictwie partii m. in. Stanisława Szwalbego, Edwarda Osóbkę Morawskiego. Juliana Hochfelda, Bolesława Drobnera, Henryka Wachowicza i in.

PPS musi wejść do Zjednoczonej Partii jako nurt czysty ideologicznie i społecznie, głosi deklaracja, i w związku z tym wysuwa postulat oczyszczenia szeregów Partii. Akcja ta, którą trzeba podjąć natychmiast, powinna iść w trzech zasadniczych kierunkach:

1 doprowadzenia do całkowitego przezwyciężenia prawicy i pojednawczego do niej stosunku;

2 oczyszczenie szeregów partyjnych z obcych i wrogich elementów;

3 wyciągnięcia wniosków organizacyjnych wobec tych, którzy przodowali prawicy i wyrządzili największe szkody partii.

„Trzeba, głosi deklaracja, aby nieuleczalni prawicowcy znaleźli się poza Partią, aby oddali swe posterunki, zwłaszcza kierownicze, ludziom, którzy konsekwentnie realizowali i realizują lewicową linię polityczną PPS".

ZNIESIENIE OGRANICZEŃ ŻYWNOŚCIOWYCH

RADA Ministrów na posiedzeniu w dniu 29.9 br. powzięła uchwałę o zniesieniu z dniem 1 listopada br. przydziałów chleba i mąki w zaopatrywaniu reglamentowanym oraz zatwierdziła projekty zarządzeń o uchyleniu istniejących dotąd ograniczeń w spożyciu artykułów zbożowych, w szczególności o rewizji z dniem 1 października br. norm przemiałowych, o normalizacji wypieku pieczywa oraz o zniesieniu dni bezciastkowych.

Decyzja o zniesieniu ograniczeń w spożyciu i w obrocie artykułów zbożowych w Polsce, jako w trzecim kraju europejskim — po ZSRR i Szwajcarii — likwidującym u siebie skutki wojny, oznacza wielki sukces naszej gospodarki.

AMBITNE PLANY MIN. POCZT I TELEGRAFÓW

W czasie obrad ogólnopolskiego Zjazdu Dyrektorów Poczt i Telegrafów, odbytego we Wrocławiu—min. Wincław Szymanowski omówił nowy kierunek polityki gospodarczej Poczty.

Minister Szymanowski podkreślił na wstępie dwa zasadnicze zadania instytucji pocztowej w życiu państwowym Polski: największe usprawnienie usług służby łączności i upowszechnienia oświaty i kultury w kraju przy pomocy rozrastającej się sieci środków łączności.

Wytyczne, jakie sobie państwowe przedsiębiorstwo „Polska poczta, telegraf i telefon" postawiło na okres planu 6-letniego — obejmuje m. in.:

Ułatwienie obywatelom i organom państwowym, samorządowym, społecznym itp., korzystania z usług poczty i telekomunikacji przez wyposażenie każdej gminy i większej gromady wiejskiej w Urząd Pocztowy o pełnym zakresie działania, oraz rozszerzenie sieci pocztowej w dużych miastach.

Upowszechnienie i ożywienie ruchu pocztowego na wsi przez doręczanie przesyłek i czasopism dla wszystkich osiedli wiejskich 6 razy w tygodniu.

Znormalizowanie i skrócenie czasu operacji pocztowych przez odpowiednią do potrzeb rozbudowę i powiązanie w czasie sieci komunikacyjnej pocztowej, kolejowej i traktowej.

W najbliższych tygodniach ukaże sie nowe wydanie powieści

Jana Dobraczyńskiego

„W ROZWALONYM DOMU„

z ilustracjami

Alojzego Krakowskiego

Wojciech Kętrzyński

PRAWDZIWE OBLICZE

Przyznaję, że ze zdziwieniem przeczytałem w numerze 35 (144) „Dziś i Jutro" artykuł p. Artura Zatopińskiego, polemizujący ze mną na temat romantyzmu, mesjanizmu i Hoene - Wrońskiego. Artykuł mój o romantyzmie, jako wstępny na łamach dziennika nie miał żadnych ambicyj erudycyjnych, obywał się bez cytat, bez dygresyj, był ograniczony w rozmiarach, jak zawsze to bywa w pracy dziennikarskiej. Był on odpowiedzią na liczne ostatnio w prasie publikacje nawołujące do oparcia współczesnych idei społecznych i polityki katolickiej na fundamencie romantyczno - mesjanistycznym. Oto kwintesencja moich wywodów:

„Stwierdzając naszą chęć nie brania udziału w żadnych antyromantycznych kampaniach i uznając niewątpliwą wartość tego ruchu w przeszłości, pragniemy się kategorycznie odgrodzić od wszelkich tendencji wprowadzania tych pojęć zarówno do problematyki katolickiej (mesjanizm), jak i do współczesnych zagadnień społecznych i politycznych".

P. Zatopiński natomiast dopatruje się w tej wypowiedzi conajmniej naukowego studium, dążącego do skompromitowania Wieszczów, ich spuścizny literackiej, dziewiętnastowiecznej kultury i wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z romantyzmem.

W istocie sprzeczamy się o różne rzeczy. Ogromniasty artykuł p. Zatopińskiego zawiera pomięszanie najróżnorodniejszych pojęć, — historycznych, jakimi są postacie twórców romantyzmu, ich dzieje, ich poglądy, — kulturalnych, jakimi są dzieje rozwoju twórczości romantycznej i jej wpływu na dalszą twórczość artystyczną i wreszcie — społecznych, obejmujących oddziaływanie romantyzmu na społeczeństwo polskie. Nas interesowało tylko to trzecie zagadnienie, zaś w „Słowie Powszechnym" zajmowałem się tylko jego aktualnym aspektem.

Sam artykuł p. Zatopińskiego nie zasługuje właściwie na polemikę. Trudno, ale na łamach prasy katolickiej obowiązują nas zasady kultury publicystycznej. Niestety nie widzę jej u p. Zatopińskiego. „Niedouczeni mądrale", „leniwi i niedokształceni", „żywiący pogardę dla tego co ich „horyzoncik" przerasta" — oto epitety, którymi on obdarza swych przeciwników.

Wartoby zaś ostatecznie rozprawić się z manierą polemiczną polegającą na pogardliwym pouczaniu oponenta, jak nauczyciel sztubaka.

„P. Kętrzyński zapewne słyszał o tym, że istnieją dwa sposoby pojmowania kultury", a potem wykład rzeczy powszechnie znanych i nie poddawanych w wątpliwość.

„Niechże p. Kętrzyński przeczyta sobie odezwę Słowackiego... itd.", wreszcie surowa nagana: „Trzeba najpierw zapoznać się z definicjami podstawowych pojęć, żeby w ogóle móc zabierać głos w sprawach zupełnie sobie nieznanych".

Na to odpowiadam.

„Niechże p. Zatopiński przeczyta sobie" polemikę prof. Borowego z Żółkiewskim o poezji XVIII w. w „Tygodniku Powszechnym" i niechże zobaczy jak człowiek uczony i głęboko kulturalny potrafi wyłożyć swą wiedzę nie obrażając nikogo. Od siebie zaś muszę stwierdzić, że w artykule p. Zatopińskiego gorzej jest z logiką. Kardynalne błędy w rozbiorze logicznym wygłaszanych przeze mnie tez całkowicie uniemożliwiają porozumienie się w prostych sprawach.

Oto parę przykładów.

Ja piszę — „nie istnieje dziś problem **aktualności** artystycznych tradycyj romantyzmu". P. Zatopiński rozumie z tego, iż zaprzeczam istnieniu tradycji artystycznej tego okresu i wywodzi mi uczenie o nawarstwieniu kultur. Istnienie tradycyj artystycznych poszczególnych epok i ich samoistne oddziaływanie na kulturę współczesną, a aktualność którejś z tych tradycyj — to dwie zupełnie różne sprawy.

Gdzie indziej zaprzecza on mojemu twierdzeniu, że romantyzm niósł ze sobą kult irracjonalizmu — sam zaś pisze „wszystko co w naszej literaturze jest irracjonalne, tak czy inaczej wywodzi się z romantyzmu".

I jeszcze jeden może najbardziej charakterystyczny przykład: w odpowiedzi na moje stwierdzenie, że **wiara chrześcijańska nie ma nic wspólnego z romantyzmem**, gdyż powstała kilkanaście wieków wcześniej, gdyż nie opiera się na przewadze elementów uczuciowych nad rozumowemi, lecz na ich harmonii, wreszcie gdyż nie potrzebowała i nie potrzebuje sięgać do argumentów romantycznych, by sobie zapewnić ostateczne zwycięstwo — p. Zatopiński stwierdza z oburzeniem, że przecież w romantyzmie odnajdujemy elementy chrześcijańskie. Owszem, proszę Pana, romantyzm Krasińskiego i Mickiewicza ma cechy chrześcijańskie, ale nie oznacza to bynajmniej, by wolno było pojęcie odwracać — chrześcijaństwo, katolicyzm nie mają cech romantycznych!

Na tych uwagach polemikę z p. Zatopińskim należałoby skończyć. Nie czynię tego wszakże, gdyż chcę spróbować wytłumaczyć już nie tylko autorowi tego artykułu, lecz i wszystkim zwolennikom i propagatorom romantyzmu w obozie katolickim, na czym opiera się nasza absolutna opozycja przeciw tym teoriom, dlaczego **uważamy je nie tylko za błędne, ale i przede wszystkiem** za szkodliwe dla sprawy katolicyzmu i dla sprawy Polski.

SPRAWA ROMANTYZMU

Dziwny powstał ostatnio spór na temat: kto wywołał wilka z lasu? Nasi współcześni romantycy, a p. Zatopiński wraz z nimi, twierdzą, że nikt nie zamierzał w Polsce propagować ani utrwalać tradycyj romantycznych, i że to tylko my „epigoni drobnomieszczańskiej orientacji pozytywistycznej" napadliśmy niecnie na romantyzm, a oni tylko zmuszeni, podjęli się obrony.

To, że myśmy sprawę romantycznych tendecyj w psychice współczesnego społeczeństwa polskiego pierwsi w obozie katolickim podnieśli — to fakt. Faktem jest jednak także, że mamy dziś już wcale poważną literaturę publicystyczną propagującą w obozie katolickim postawę romantyczną jako jedyną zbawczą dla Polski i dla całego katolickiego świata. Rozmiary tej propagandy przekraczały znacznie potrzebę bronienia dobrej sławy Wieszczów. Nie ma co sprawy ukrywać pod korcem. Istnieje wśród katolickich intelektualistów wcale poważna orientacja, głosząca konieczność zajęcia romantycznej postawy wobec dziejących się w Polsce i w świecie przemian.

Stąd konieczność dyskusji, jałowej zresztą, jak dotąd, gdyż zbyt często przetykanej epitetami, zabarwionej złością. Dlatego też uważam dalsze podtrzymywanie takiej dyskusji za zło, konieczne coprawda, aż do chwili gdy obie strony zrozumieją przynajmniej co jest przedmiotem sporu. Tymczasem przedmioty znacznie bardziej palące aktualnością czekają na pióra publicystów i zainteresowanie czytelników.

Otóż w czym rzecz? Podejmując walkę przeciw propagandzie neoromantycznej w obozie katolickim parokrotnie podkreślaliśmy, iż nie zamierzamy w żadnej mierze umniejszać sławy wielkich pisarzy tego okresu, czy zaprzeczać wartościom i zasługom historycznym romantyzmu. Najzagorzalsi fanatycy romantyzmu nie znajdą w naszych wypowiedziach takich akcentów.

KONSEKWENCJE SPOŁECZNE ROMANTYZMU

Nasz negatywny stosunek do romantyzmu ogranicza się do problematyki społecznej. Twierdzimy bowiem że wpływ romantyzmu na społeczeństwo polskie był w ostatecznym rozrachunku szkodliwy, mimo nawet zasług przy utrwalaniu patriotyzmu i budzeniu ducha walki w narodzie.

W odpowiedzi na to zarówno p. Zatopiński, jak i inni propagatorzy romantyzmu cytowali nam pełnemi garściami Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, dowodząc o ich umiarkowaniu i rozsądku politycznym. Sprawa jednak nie jest tak prosta. Rozsądek polityczny, który zresztą zaczął cechować twórczość Wielkich Romantyków dopiero w późniejszym okresie po wielu gorzkich doświadczeniach, nie przenikał tak łatwo nie tylko do umysłów społeczeństwa, ale także i do naszej ówczesnej elity politycznej. Wynikało to z faktu, iż nasi wieszczowie nie byli realnymi politykami i że ich osiągnięcia teoretyczne nie szły w parze z ich osiągnięciami praktycznymi. Do dziś dnia zresztą, jak to słusznie podkreśla Jerzy Braun, ta „realistyczna" twórczość poetów jest w społeczeństwie polskim mało znaną, nawet w jej warstwach bardziej wykształconych.

Jest oczywiście naiwnością zwalać winę za ten stan rzeczy na dziennikarzy, jak to czyni p. Zatopiński. Rozpowszechnianie prawdy o tym okresie należy do zadań doprawdy tylko naukowców.

Publicystyka neo - romantyczna współczesna swe rozprawy o romantyzmie zawiesiła w próżni. Badając słowa poetów zapomina konfrontować je z rzeczywistością. Tym czasem idee i prądy społeczne nie rozwijają się w abstrakcji.

Wychodząc z tego samego abstrakcyjnego założenia — publicystyka neo - romantyczna odcina romantyzm polski od wszelkich wpływów obcych, francuskich, angielskich i niemieckich. Udowadnia na podstawie cytat, że irracjonalizm, sentymentalizm, idealizm mały miały dostęp do Mickiewicza czy Norwida i że przeto romantyzm polski był tych cech pozbawiony. Rzeczywistość znowu była inna. Ośrodki emigracyjne nie były odizolowane od wpływów francuskich, czy niemieckich. W Polsce też czytano poza późnym Mickiewiczem i Byrona, Goethego, Schillera, studiowano Hegla, Fichtego i Schellinga — czego najlepszym dowodem — filozofia polska z Libeltem, Cieszkowskim, Trentowskim i Kremerem na czele.

Odrzucamy więc jako całkowicie bezpodstawną tezę, że na społeczeństwo polskie oddziaływały li — tylko koncepcje polskich wieszczów i to tylko te ostatnie bardziej realistyczne.

Uważamy że na Polskę oddziaływał w całej pełni romantyzm europejski, więc uniwersalizm Mickiewicza czy Norwida, indywidualizm Byrona, sentymentalizm Rousseau czy Chateaubrianda, zarówno idealizm z Niemiec, jak i emigracyjny mesjanizm.

I tylko w dziejach polskich a nie w księgach trzeba szukać istotnego wpływu romantyzmu na nasz naród.

P. Zatopiński twierdzi, że Chłopicki nie czytał dzieł romantyków. Być może. Jeżeli jednak czytał to napewno ideą — „mierz siły na zamiary" nie przejął się. Ale napewno w aurze romantyzmu rozwijali się ci podchorążowie, którzy w noc listopadową rzucili hasło buntu. I nie w tym odbija się negatywny wpływ romantyzmu, iż nie znali międzynarodowych koniunktur politycznych, lecz w tym że rzucili hasło walki, nie mając wodzów, nie mając odwagi sami wodzostwo objąć.

Z jakiej szkoły ideowej wywodzili się uczniowie kursów wojskowych w Cuneo i Genui i ich przywódca, Mierosławski? Skąd czerpali swe natchnienie ci, którzy chcieli wygrać powstanie styczniowe „z gołymi rękami na karabiny, z karabinami na armaty", a nie potrafili porwać za sobą masy ludu polskiego, któraby była zdolna te karabiny uchwycić?

Co zaślepiło społeczeństwo polskie, że w latach wolności nie potrafiło się zorganizować, że dawało się rządzić i porywać przez kliki i koterie pozbawione politycznych i moralnych wartości?

Wreszcie co kierowało ofiarnymi i bohaterskimi szeregami młodzieży polskiej, że w krytycznym momencie walki zbrojnej o niepodległość znalazły się na rozdrożu interesów narodu i własnych uczuć — znalazły się opuszczone przez dowódców, rozgoryczone, wykrwawione?

Mamy pełne prawo stwierdzić, iż u podłoża tych procesów działała psychika wychowana na romantyzmie. Mamy wszelkie podstawy do twierdzenia, że irracjonalizm, sentymentalizm, słabeuszostwo, cierpiętnictwo i atmosfera niezdrowego politycznego mistycyzmu — to negatywne elementy wpływu romantyzmu na dzieje polskie.

Nie twierdzimy bynajmniej, że są to wyłączne cechy narodowe. Bynajmniej. Naród polski wykazał swe wartości dość dobitnie, by nikomu nie było wolno w to wątpić, czy zaprzeczać. Jeśli jednak, mimo tych wartości dzieje Polski ostatnich 150 lat są dziejami stałych zawodów, rozczarowań i wewnętrznych załamań — to trzeba umieć źródło słabości odkryć i zlikwidować.

KOLOROWA ZASŁONA

Odpowiadam też publicznie p. Zatopińskiemu, iż argumenty jego dowodzą tylko wewnętrznego sprzeciwu. Realizm chłopa polskiego nie wyrósł ani na „Wykładach paryskich", ani na korespondencji Norwida — wyrósł na ciężkich doświadczeniach i twardej doli chłopskiej!

Dzisiejsza witalność społeczeństwa, jego pracowitość i wspaniałe tempo odbudowy budzą radość w sercu każdego Polaka. Ale, niech nas stać na tę szczerość — to nie nasi neo - romantycy mają prawo sobie za ten stan rzeczy przypisywać zasługi. Wręcz przeciwnie ten stan rzeczy jest w dużej mierze dziełem inicjatywy naszych wspólnych ideowych przeciwników.

O „zasługach" wojennych spekulantów i szmuglerów lepiej nie wspominać — byli to ludzie, którzy żywili się krwią i męką Polaków, tragiczny objaw moralnego ludożerstwa.

„NEO-ROMANTYZMU"

Jest jednak zastanowienia godne, dlaczego właśnie dziś neo - romantyzm rozprzestrzenił się tak szybko w niektórych ośrodkach inteligencji intelektualistycznych w Polsce? Mimo doświadczeń przedwojennych i obecnych, mimo licznych głosów ostrzegawczych, rozlegających się od dawna? Dlaczego, mimo tak oczywistych błędów w swej doktrynie nie potrafi ich dostrzedz?

Cechą charakterystyczną postawy romantycznej jest panowanie uczucia nad rozumem. W obliczu nadchodzących przemian ogólno światowych, w obliczu konieczności dokonania przestawienia umysłów i serc ku nowym zagadnieniom, które dziś wyrastają — neo - romantycy wycofują się za osłonę swych mistycyzujących koncepcyj. Poprostu zastępują poczucie obowiązku — marzeniami. Cała, tak nielogicznie i nienaukowo zbudowana koncepcja aktualizowania tradycyj romantyzmu nie ma też innego celu jak stworzyć właściwą atmosferę dla rozwinięcia mesjanistycznej mistyki. Tu dopiero, pozbawieni wszelkich trosk i zagadnień praktycznych, które niosą czasy dzisiejsze — nasi neo - romantycy czują się jak w raju.

Rozprawianie się więc z neo-romantyczną propagandą „rozsądnego romantyzmu" jest, w istocie rzeczy, tylko zdzieraniem kolorowej zasłony, koniecznym dla odsłonięcia prawdziwego oblicza tego kierunku. W istocie bowiem nie jakiś abstrakcyjny „literacki" romantyzm — ale metafizyka mesjanistyczna jest istotną cechą postawy światopoglądowej „neo - romantyków".

Fikcja „rozsądnego romantyzmu" wyhodowanego „pod szkłem" w oderwaniu od rzeczywistości historycznej i psychologicznej polskiej jest zanadto rażąca, by krytyczny umysł jej nie zauważył. Nadto, mimo zapewnień o aktualności, fikcja ta nie ma dziś żadnego praktycznego zastosowania. Rzeczywistość jest zbyt jaskrawa, by tak spreparowana koncepcja mogła dać podnietę do działania, czy choćby tylko dać bezpieczne schronienie i wewnętrzny spokój neo - romantykom.

Fikcja „rozsądnego romantyzmu" została stworzona i rozbudowana tylko poto, by w jej atmosferze móc wyhodować stuprocentowo irracjonalną metafizykę neo - mesjanizmu. Dopiero ona stwarza możliwości popłynięcia „w rajską dziedzinę ułudy", gdzie nie ma trudnych problemów dnia dzisiejszego, gdzie nie ma ani przeciwników, ani przeciwności, gdzie przyszłość Polski rozstrzyga się jedną myślą, jednym pociągnięciem pióra, bo tam „zapał stwarza cudy".

PRAWDZIWE OBLICZE NEO - MESJANIZMU

W publicystyce „neo - romantycznej" nie znajdujemy definicji wyznawanego przez ten kierunek mesjanizmu. Znajdujemy tam trochę górnolotnych frazesów o „katolickości" i „naukowości". To wszystko.

A tylko i to w przypisach znajdujemy próbę etymologicznego wyprowadzenia sensu słowa „mesjanizm". Oto przykład niebywałej żonglerki słownej: hebrajskie słowo „maszijach" oznacza — pomazaniec, wybawiciel przysłany przez Boga. Odpowiednikiem tego słowa jest greckie „Christos" — stąd stwierdzenie: „mesjanizm znaczy to samo co chrystianizm".

Trudno dać wiarę naiwności tego dowodzenia. Pojęcie chrystianizm jednak nie wywodzi się od słowa „christos", lecz od osoby Naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Mesjanizmem nazywamy zaś każdą doktrynę opierającą się na wierze w przyjście mesjasza wybawiciela. Takie są religia żydowska i wierzenia sekt adwentystycznych.

Nie pierwszy to wypadek, iż nasi współcześni mesjaniści probują swą doktrynę utożsamiać z katolicyzmem. (Romantyzm to wiara w ostateczne zwycięstwo chrześcijaństwa; mesjanizm — to spełnienie chrystianizmu). W istocie jednak katolicyzm nigdy pojęciem „mesjanizm" się nie posługuje, a wszelkie mesjanistyczne koncepcje od siebie odrzuca jako sekciarskie.

Nic więc dziwnego, że nasi neoromantycy nie kwapili się z definiowaniem swojej doktryny światopoglądowej. My jednak zamierzamy proces przeciwko tym koncepcjom doprowadzić do końca mimo niejasności i niedomówień. Materiału wystarczy.

Ogólnie można stwierdzić, iż mesjanizmem jest każda metafizyczna koncepcja — przyjmująca za punkt wyjścia wybawienie całej ludzkości, czy jednego narodu przez zesłańca z nieba mesjasza - wybawcę. Chrześcijaństwo wprowadziło tu czynnik odkupienia przez poświęcenie się[1]). W konkretnym rozpatrywanym wypadku można jeszcze odnaleźć dwa elementy. Wiarę, iż ludzkość przechodzi w obecnej chwili przez okres cierpień i ofiar, i że siłą interwencji nadprzyrodzonej po tych doświadczeniach przyjdzie okres szczęśliwości i spełnienia marzeń.

Tak pojęta wiara, zarówno w konieczność poddania się biernie cierpieniom, jak i rozwiązania wszelkich przyziemnych konfliktów i trudności tylko interwencją Opatrzności nie ma, rzecz jasna, nic wspólnego z katolicyzmem. Byłoby zresztą szarlatanerją nie do przyjęcia dla współczesnego umysłu, gdyby nie nadano jej właśnie pozorów szerokiego systemu światopoglądowego, opartego zarówno na religii katolickiej, jak i na nauce, a do tego, zgodnie z tradycją historyczną romantyzmu polskiego, i gdyby opierała się o swoistą koniunkturę psychiczną dla tego typu doktryn.

Nasz romantyzm wytworzył dwie różne koncepcje mesjanistyczne: mickiewiczowską i Hoene-Wrońskiego. Idea „Polski, Chrystusa narodów" śnić się mogła Wielkiemu Wieszczowi w dobie rozkwitu romantyzmu i tragedii emigracyjnej. Rychło jednak trzeba było się przekonać, że naród polski nie jest ani mesjaszem ani sumieniem świata, lecz tak samo jak każdy inny zdany na trudy budowania swej przyszłości własnym wysiłkiem, własną krwią i własną pracą.

Zresztą „neo-romantycy" powołują się częściej na koncepcje mesjanistyczne Hoene-Wrońskiego niż Mickiewicza czy Towiańskiego. Mamy więc prawo uważać teorie Hoene-Wrońskiego za podstawę filozoficzną mesjanizmu dzisiejszych neo-romantyków.

[1]) Jednak religia katolicka nie jest mesjanistyczna, gdyż zejście Zbawiciela wypełniło Stary Testament, a otworzyło Nowy. Wiara zaś w Sąd Ostateczny nie ma cech mesjanistycznych.

HOENE-WROŃSKI: CZŁOWIEK

Moja charakterystyka tego filozofa i jego twórczości; podana w „Słowie Powszechnym" była krótka i dosadna —

„...wydobywają (neoromantycy) na światło dzienne mętną, a z punktu widzenia katolickiego, jak najbardziej podejrzaną, filozofię Hoene-Wrońskiego, tego Czecha z pochodzenia, carskiego pułkownika z kariery, Francuza z kultury, Niemca z umysłowości". Pan Zatopiński się na mnie srogo oburzył za powyższe zestawienie faktów. Zarzucał mi on publicystyczną nierzetelność, a wreszcie wybuchnął:

„Jeśli mętnym nazywać będziemy wszystko, czego ktoś (t. zn. ja) nie potrafi zrozumieć, cóż pozostanie z kultury. Przecież każdy system filozoficzny posiada swoją terminologię, w pewnym stopniu niedostępną dla laików i dyletantów (to znaczy dla mnie)."

Uprzejma ta uwaga zmusza mnie do zatrzymania się na chwilę nad osobą i całokształtem twórczości Hoene-Wrońskiego.

Uważam za dziecinadę wszelkie spory o własność narodową wiedzy, raz przekazanej światu kulturalnemu. Wiedza może mieć tylko obywatelstwo wszechświatowe. Wolno się spierać najwyżej o pochodzenie uczonego. Otóż jest faktem, że Wroński pochodził z Czechów, a żył w Polsce tylko lat szesnaście — od 1778 do 1794. W najlepszym więc razie musielibyśmy się jego osobą z Czechami dzielić, gdyby się chcieli o niego upominać. Musi się więc p. Zatopiński pogodzić, z faktem czeskiego pochodzenia naszego filozofa.

Nie na miejscu są tu też porównania z Lelewelem, Polem, Glogerem, czy Kolbergiem. I oni byli obcego pochodzenia, lecz nie tylko spolonizowali się szczerze, lecz tworzyli po polsku, dla Polski i uważali się za Polaków. Hoene-Wroński tworzył po francusku, dla Francji, co wynika jasno z charakteru jego prac; nadto natychmiast po przybyciu przyjął francuskie obywatelstwo, a w liście otwartym do gen. Caraignac stwierdza publicznie, iż uważa Francję za swą ojczyznę. W pracach jego nie odnajdujemy śladu zainteresowań Polską, poza jednym listem otwartym do ks. Czartoryskiego, dotyczącym zresztą głównie problemów panslawizmu. Nie odnajdujemy zaś bynajmniej jego nazwiska wśród propagatorów sprawy polskiej na emigracji.

Tak, jak fakt polemik z poglądami Rousseau, czy encyklopedystów nie jest żadnym zaprzeczeniem tego, iż Wroński stał się Francuzem, tak jego polemiki z Heglem nie mają nic wspólnego ze stylem jego umysłowości. Ta zaś była niemiecką, ciężką, zawiłą, pryncypialną, stanowiła klasyczne przedłużenie filozofii kantowskiej.

Wreszcie sprawa „carskiej kariery". Oburzony p. Zatopiński pisze — „uczestnik powstania Kościuszkowskiego, który z armii rosyjskiej **uciekł do legionów** — carskim pułkownikiem z kariery — oszczerstwo"!

Sprawdźmy fakty. W roku 1794 Hoene-Wroński jako młodziutki podporucznik artylerii dostaje się pod Maciejowicami do niewoli. W momencie gdy patrioci polscy z Dąbrowskim ruszają o tułaczym chlebie do Francji, by u jej boku tworzyć legiony — Wroński wstępuje na służbę carską. W roku 1797 jest już podpułkownikiem w sztabie Suworowa. Niemajętny, nie pochodzący z wybitnego rodu — w ciągu trzech lat w obcej armii dosługuje się tak szybkiego awansu. Nie małe musiał mieć zasługi. „Ucieczka do legionów" odbywała się swoiście. Pomijając już drobiazg, że nie uciekł, a zwolnił się, to jeszcze po drodze zatrzymał się na trzy lata na studia w Królewcu i dopiero w r. 1800 zawitał do Marsylii. Proszę też o dostarczenie mi danych o wyczynach bojowych Wrońskiego, bo mi jest wiadomo, że zaciągnąwszy się do legionów formalnie, faktycznie zajął się tylko pracą naukową. Nie ma w tym zresztą żadnej zbrodni. Przestańmy jednak robić bohatera narodowego z człowieka, który poczucia narodowego nie miał i do żadnych obowiązków wobec Polski się nie poczuwał.

HOENE-WROŃSKI: TWÓRCZOŚĆ

Tyle co do osoby. Pozostaje problem oceny twórczości. Trudno jej nie odmówić pewnych trwałych wartości, tymbardziej iż umysł Hoene-Wrońskiego był niewątpliwie niezwykły. Wroński, człowiek zdolny, niebywale pracowity i wytrwały pozostawił po sobie ogromną spuściznę, dotyczącą niemal wszelkich dziedzin wiedzy. W zakresie filozofii ścisłej, matematyki, logiki symbolicznej, a nawet astronomii i fizyki — doszedł do wyników ponoć wartościowych. Dziedziny te są zbyt oddalone od moich zainteresowań, by mi było wolno o nich sąd wydawać.

Inaczej natomiast wygląda sprawa, gdy dochodzimy do głównej dziedziny jego zainteresowań — do prac historiozoficznych, metafizycznych, politycznych i ekonomicznych Hoene - Wrońskiego. Tam określenie „mylnej i podejrzanej" filozofii jest niewątpliwie stwierdzeniem bardzo umiarkowanym.

Bo czyż można traktować poważnie autora, który pisząc grube dzieła historiozoficzne, językiem bardzo niejasne i myślą bardzo zawiłe, przeplata je najniespodziewaniej historiami pań z towarzystwa, które mu rzekomo czyniły nieprzystojne propozycje, narzekaniami na niewdzięcznego ucznia, bankiera Arsena, który mu nie chciał zapłacić za wtajemniczenie w przeszłe i przyszłe dzieje świata — drobnej sumy dwustu tysięcy franków?

Gdyby jeszcze Hoene-Wroński do tego się ograniczył. Niestety miał on ambicje polityczne. Pisał memoriały, ogłaszał odezwy. Wroński na tyle zatracił nawet poczucie autokrytycyzmu, że cytuje w „Metapolityce" treść swej korespondencji z

Dnia 4 sierpnia 1944 r. padł ranny w boju na ochotnika w Powstaniu Warszawskim

ś. † p.

GRZEGORZ WOLIKOWSKI

strzelec A. K. lat 18

Za poległego śmiercią żołnierską w obronie Ojczyzny odbędzie się Msza św w rocznicę śmierci 6 października w kościele S S. Wizytek o godz. 9 rano przed głównym ołtarzem, o czym towarzyszy broni i rodzinę zawiadamia

MATKA

W świecie...

ZGROMADZENIE GENERALNE ONZ

W Paryżu rozpoczęło się przed dwoma tygodniami kolejne zgromadzenie generalne ONZ-etu. Rozpoczęło się w atmosferze dużego politycznego napięcia spowodowanego zupełnym fiaskiem rozmów moskiewskich w sprawie niemieckiej. Okazało się, iż Anglosasi zainicjowali rozmowy moskiewskie jedynie w celu uzyskania chwilowego odprężenia sytuacji w Berlinie, jednak bez intencji istotnej zmiany swej polityki w stosunku do Niemiec. Ponieważ i ZSRR nie widziało żadnego powodu, by rezygnować ze swoich odnośnie Niemiec postulatów — Anglosasi w pewnej chwili rozmowy przerwali. Komunikat TASSA zostawiał jeszcze otwarte drzwi do dalszych rokowań — jednak taka ewentualność nie leżała zapewne w planach Anglosasów, gdyż zamiast kontynuowania rozmów dość nieoczekiwanie przekazali sprawę Berlina do rozstrzygnięcia Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Krok conajmniej dziwny, gdyż trudno sobie wyobrazić, by Rada Bezpieczeństwa mogła doprowadzić do porozumienia w przedmiocie, którego uzgodnić nie były między sobą w stanie cztery wielkie mocarstwa, pominąwszy już nawet niemożność formalnego załatwienia tej sprawy w zespole Rady, gdyż wchodzą tam i ZSRR i Ukraina, które mają prawo uniemożliwić wszelkie uchwały skierowane przeciw nim, tak jak USA i W. Brytania ma możność uczynienia tego samego. O tym oczywiście Marshall i Bevin wiedzieli doskonale — dlatego też postępek ich czyni wrażenie jeszcze dalszego, umyślnego, skomplikowania i zagmatwania sprawy Berlina. Dalszego, na zimno skalkulowanego, posunięcia w ich politycznej i ideowej ofensywie przeciw ZSRR. Przyczym postępek ten nabiera dopiero należytego oświetlenia, gdy wspomni się o komentarzach prasy brytyjskiej (np. „Daily Mail") sugerujących możliwość rozbicia ONZ przez Amerykanów i Brytyjczyków, którzy nie widząc w nim dostatecznie sprawnego narzędzia realizowania własnej polityki w stosunku do innych narodów — będą chciały stworzyć inną organizację już tym razem bez udziału ZSRR i państw demokracji ludowej. Ponieważ usunięcie ZSRR z ONZ będzie raczej trudne dziennik brytyjski rozważał możliwość wyjścia z ONZ USA i satelitów. Oczywiście oświadczenia dziennikarskiego nie należy brać nazbyt poważnie — zostało ono zresztą w pewnym sensie zdezawuowane przez przedstawiciela Australii dr Evatta, przewodniczącego obecnego zgromadzenia, naogół rzecznika Foreigne Office, ale same wzmianki o niebezpieczeństwie likwidacji ONZ są wysoce symptomatyczne dla atmosfery jaką wokół tej międzynarodowej instytucji tworzą Anglosasi. Oczywiście, w tym stanie rzeczy o istotne porozumienie na terenie ONZ jest bardzo trudno. Nic też dziwnego, że pierwsze tygodnie obrad upłynęły raczej na demonstrowaniu stanowisk obu stron, niż na próbach osiągnięcia kompromisu. Jak dalecy są Anglosasi myślą o takim kompromisie wskazują wyniki wyborów na przewodniczących rozlicznych komisji Zgromadzenia Generalnego, kiedy to na rozkaz Anglosasów przegłosowane zostały kandydatury wszystkich przedstawicieli państw Europy Wschodniej na rzecz kandydatów republik południowo - amerykańskich.

Obrady Zgromadzenia ONZ Generalnego potrwają prawdopodobnie około 3 — 4 miesięcy.

naczelnikiem królewskiego biura podań, który go jawnie traktuje jako grafomana czy maniaka, a wreszcie otwarcie wyprasza za drzwi.

Naczelnik królewskiego biura podań miał rację. Hoene-Wroński przy swych niewątpliwych zdolnościach był poprostu grafomanem i maniakiem. Przez całą treść jego prac przewija się niebywała historia jakiejś „zgrai tajemnej“, prześladującej od wieków ludzkość, a zwłaszcza jego, posiadacza wiedzy, która ma zbawić świat. Jeśli ten człowiek, na pół wariat, obdarzony kompleksem własnej wielkości i manii prześladowczej, polityczny analfabeta, stu procentowy reakcjonista społeczny — mógł wywołać u Norwida okrzyk „największy mędrzec, jaki był w tym wieku, i jakiemu na świecie nie ma równego“, to można to wytłumaczyć atmosferą emigracji ówczesnej. Jeśli jednak jeden z czołowych katolickich publicystów współczesnych mógł tę opinię Norwida powtórzyć jako prawdziwą charakterystykę Wrońskiego to już dowód niebezpieczny psychozy.

Jeśli jest możliwem, by w wieku dwudziestym, tłumacz dzieł Wrońskiego opatrywał te dziwactwa takim wierszowanym wstępem:

Ave, Wroński **praw boskich** wielki ustanowco!...
Ave, Wielki! Ta księga Twoja jest dziś mostem
Nad przepaścią huczącą sił ślepych przerostem,
I pochodnią rozlaną aż po kres, co rości
W przeznaczeniach narodów cel święty ludzkości!

to dowód najlepszy na jakie wertepy prowadzi irracjonalizm romantyzmu.

Cała pseudo-naukowość światopoglądu Wrońskiego dawno by już rozpadła się w nicość, gdyby nie bijąca z niego niezdrowa atmosfera mesjanistyczna.

„MESJANIZM — TO SPEŁNIONE CHRZEŚCIJAŃSTWO“

Mesjanizm Wrońskiego jest w istocie niezwykle prosty. Mesjaszem, zesłanym na ziemię celem zbawienia ludzkości jest on sam. Hoene-Wroński. Jego wiedza, dana mu bezpośrednio przez Opatrzność — ma za zadanie zreformować myślenie i życie ludzkie, poczem ma nastąpić wiek złoty. W księgach swych jawnie i otwarcie Wroński swe osobiste posłannictwo odsłania, wzywa władców i narody do przyjęcia jego zawiłej nauki, popiera ją od czasu do czasu cytatami z Apocalipsy.

Mesjanizm Wrońskiego jest w swej istocie nie tylko nie katolicki, lecz i nie chrześcijański. Nie potrzeba było czekać Soboru Watykańskiego, by stwierdzić, iż cała koncepcja osobistej misji otrzymanej od Opatrzności jest najoczywistszym sekciarstwem.

Sama treść poglądów Wrońskiego jest głęboko niekatolicka — o Marcinie Lutrze i o protestantyźmie odzywa się z największym podziwem, nazywa go „znamienitym założycielem wolności myśli“, podkreśla „wysoką moralność **jaką protestantyzm przyszedł wreszcie ziścić na ziemi**“.

A oto jak traktuje on mistykę św. Augustyna, św. Franciszka, św. Teresy — „Jako taka, umysłowość mistyków... stanowi prawdziwą **potworność umysłową** (podkreślenie H. Wr.)... umysłowość ta mistyczna albo wyjątkowa wyraża stan anormalny ducha samorzutnego człowieka, stan jaki filozofia absolutna, mesjanizm, mogła jedna tylko pojąć i wyjaśnić“. Dla uniknięcia zbędnych polemik podkreślam, iż Wroński ani jednym słowem nie wyróżnił mistyki chrześcijańskiej od potępionego przez siebie ogólnie mistycyzmu.

No cóż, Wroński nie był pierwszym mesjaszem, sam wiek XII liczył conajmniej dziewięciu bardziej znanych. Wraz z Almasserem, Dawidem Leimlem, Zapata-Farim — stanowi on galerię na pół wariatów, na pół szalbierzy. To trzeba tylko Wrońskiemu przyznać, że w przeciwieństwie do swoich wybitniejszych poprzedników nie próbował ze swego „posłannictwa“ wyciągać korzyści materialne, poza nieudanym eksperymentem z bankierem Arsenem.

Jeśli zatrzymaliśmy się dłużej nad różnymi aspektami twórczości Wrońskiego to poto, by raz nareszcie obalić mit o wielkości, uczoności a przede wszystkim **katolickości** tej bezsensownej doktryny. To obskurne dzieło niezdrowego umysłu.

Ale **potwornością umysłową**, by użyć zwrotu Wrońskiego — jest fakt iż w Polsce współczesnej, i to w obozie katolickim znalazło się miejsce dla tego rodzaju mętniactwa. **Potwornością moralną**, że do łam prasy katolickiej mogą mieć dostęp tak absolutnie sprzeczne z nauką Kościoła poglądy, mogą być propagowane i zachwalane.

Świadomi, że opinia nasza może mieć tylko charakter prywatnej wypowiedzi — zwracamy się też z prośbą do uczonych katolickich, by dali ze swej strony jasną odpowiedź — **czy mesjanizm w ogóle, a filozofia Hoene-Wrońskiego w szczególności, mogą być przez katolika wyznawane i rozpowszechniane.**

„DOKTRYNA UCIECZKI“

Pozostaje tylko jeszcze jedna zagadka. Jak się to dzieje, że tak absurdalne teorie mogą mieć wzięcie w niektórych intelektualnych ośrodkach w Polsce? Jest nie do wiary, by psychoza irracjonalizmu i histerii XIX-wiecznego romantyzmu odżyła tak dalece, by pozwoliła przeciętnie rozumnemu człowiekowi zatracić cały dobytek naukowy stulecia.

Stwierdziliśmy to już poprzednio— romantyzm dziewiętnastowieczny, spreparowany w abstrakcji na prąd rozumny, katolicki i aktualny jest tylko zasłoną, za którą wyznawcy neo-mesjanizmu kryją się przed kompromitacją intelektualną i moralną.

Znając też zamiłowanie narodu polskiego do swej historii do jej tradycyj, używają propagandy romantyzmu, jako haczyka na opinię publiczną.

Źródeł neo - mesjanistycznego irracjonalizmu trzeba szukać we współczesności. Nie tylko w Polsce, ale i prawie w całej Europie dają się zauważyć po wojnie objawy zbiorowego, moralnego i psychicznego załamania. Wojna była wstrząsem straszliwym. Jednostki, a nawet środowiska nie dość odporne wyszły z niej tymbardziej załamane, iż koniec działań wojennych bynajmniej nie przyniósł upragnionego spokoju, lecz przeciwnie — perspektywę nowych światowych zmagań — moralnych, ideowych, politycznych. Trzeba niewątpliwego hartu wewnętrznego, by móc w tych trudnych zmaganiach zająć własne, jasno określone stanowisko. Trzeba do tego posiadać głęboką, niezachwianą wiarę we własne idee i we własne siły.

Cóż mieli począć ci, którzy wyszli wstrząśnięci, powątpiewający we własne siły, a przy tym nie tak dalece załamani — by popaść w całkowite zobojętnienie, w duchową prostrację. Uciekali od rzeczywistości w świat urojeń, fikcyj, które obudowywali jak twierdzę szczątkami swych idei, argumentami filozofii, nauki, religii, jakimikolwiek dysponowali.

We Francji — ten eskapizm ideowy objawił się w sartrowskim egzystencjalizmie, w Polsce, w mesjaniźmie a la Wroński. Oto ciekawe tło dla psychologii społecznej — kultura francuska pchnęła tych rozbitków ku estetyzującemu nihilizmowi moralnemu — polska — ku ekstazie, ku irracjonalizmowi, ku politycznemu i ideowemu mistycyzmowi, zabarwionemu religijnym patosem, jednak w istocie swej sprzecznemu z katolicyzmem.

Jeśli egzystencjalizm Sartre'a z Kafką, jako pierwszym prorokiem— przez swą laickość (mimo istnienia w nim elementów teistycznych) i przeintelektualizowanie — może wnieść zamęt tylko wśród górnych dziesięciu tysięcy snobów intelektualnych — o tyle neo - mesjanizm w Polsce, odwołujący się do argumentów uczuciowych i operujący szeroką, choć bałamutną argumentacją historyczną, filozoficzną, religijną — może w istocie wprowadzić elementy rozkładu w psychikę katolików polskich.

Nie chcemy bynajmniej stwarzać sugestii jakiegoś narodowego niebezpieczeństwa, grożącego od strony neo - mesjanizmu. Ta mistycyzująca i egzaltowana psychoza nie prowadzi dalej, jak do formułowania zamierzeń bez skutków — tam bowiem nie czyny — ale właśnie zamierzenia dają ten stan ekstatyczny, za którym ci ludzie tęsknią.

Za wzorem Wrońskiego — neo - mesjaniści chcą się uważać za grupę obdarzoną misją cierpienia i noszenia w sobie koncepcji wybawienia ludzkości. Stąd łatwość formułowania programów odrodzenia Polski i świata, reformowania ekonomii i polityki, będących wyrazem marzeń tych ludzi, a nigdy rzeczywistego planu pracy.

Jeśli ne istnieją żadne niebezpieczeństwa dla narodu — istnieje niewątpliwa szkodliwość tej psychozy. Pogłębia ona zawsze szkodliwe elementy irracjonalne w psychice polskiej, osłabia wolę, odciąga od rzeczywistej pracy i walki o przyszłość, nie rzadko kompromituje katolików. Sieje rozkład i demoralizację.

Pierwszym zadaniem jest tę szarlatanerię umysłową i psychiczną odsłonić i skompromitować w oczach ludzi normalnych. Uświadomić katolicką opinię publiczną, że nie ma tam słowa prawdy historycznej i filozoficznej, że w gruncie rzeczy są to herezje, nie mające nic wspólnego z katolicyzmem.

Trzeba więc odseparować neo-mesjanizm od rzeczywistego obozu katolickiego i leczyć, leczyć troskliwie załamaną psychikę tych ludzi, wśród których nie brak zresztą wartościowych umysłów.

Wojciech Kętrzyński

FILM

Sezon filmowy 1948/49 otwiera festival filmów radzieckich, który odbędzie się w październiku. W każdym z miast wojewódzkich 3 kina będą wyświetlać jedynie filmy radzieckie (w tym jedno z nich wyświtlać będzie filmy młodzieżowe). W sumie przez ekrany 57 kin przewinie się 54 obrazy radzieckie. Pośród nich zobaczymy: „Antoni Iwanowicz gniewa się“ kolorowy, „Dwaj panowie F“, „Świat się śmieje“, „Harry Smith odkrywa Amerykę“ (na podstawie sztuki Simonowa „Za gadnienie rosyjskie“) następnie filmy oparte na tematyce wojennej: „Wielki przełom“, „Kurhan małachowski“, „Dusze nieujarzmione“, filmy historyczne jak: Piotr Wielki“, „Alek sander Newski“, „Krążownik Wareg“ oraz filmy obrazujące okres rewolucji: „My z Kronsztadtu“, „Lenin w październiku“, „Lenin w roku 1918“ — i wiele innych.

W Warszawie filmy radzieckie wyświetlane będą w Palladium, Syrenie i Polonii (filmy młodzieżowe). Dla ułatwienia wprowadzone zostaną na okres festivalu abonamenty 10 biletowe, których kupno upoważnia do otrzymania biletów wymiennych poza kolejką. Ciekawą nowością będzie publiczna ankieta na temat filmu radzieckiego. Również i 123 kina objazdowe zaopatrzone zostaną na okres października wyłącznie w filmy produkcji radzieckiej. Jednocześnie na ekranach radzieckich wyświetlany będzie „Ostatni etap“.

W obecnym sezonie filmowym oprócz omówionych filmów radzieckich zobaczymy m. in. szereg filmów francuskich, czeskich, włoskich i angielskich. Coraz poważniejsze zmniejszanie się przewagi ilościowej filmów amerykańskich i otwierająca się możliwość dokładniejszego poznania produkcji innych krajów jest pocieszającym zjawiskiem w naszym życiu filmowym. Mam nadzieję, że ograniczenie ilości pozwoli na bardziej krytyczny dobór obrazów i wyłowienie w nieciekawym naogół morzu produkcji amerykańskiej owych przysłowiowych rodzynków w cieście. Większość z dotychczas wyświetlanych obrazów pochodziło z nakręcanej przeważnie w okresie wojny typowej produkcji seryjnej. Nie tylko, że nie znajdowaliśmy tam postawienia problemów czy ciekawych nowych rozwiązań, lecz wykazały one nieraz zastraszający brak jakichkolwiek pretensji artystycznych. (Dość przytoczyć takie tytuły jak: „Belita tańczy“, „Kulisy wielkiej rewii“, „Casablanca“). Filmy takie jak: „Myszy i Ludzie“, „Mr Smith jedzie do Waszyngtonu“ były mile widzianymi wyjątkami. Najistotniejszym złem były jednak częste na naszych ekranach seryjne komedie i filmy rewiowe. Przeciętna komedia francuska wnosi żywy dowcip i inteligetną grę aktorów — amerykańska wnosi gołe nogi, wrzaskliwy jazz, oklepane dowcipy — nie wymagający myślenia, ogłupiający szablon podany w niewybrednie atrakcyjnym sosie. Wykorzystuje dążność do oderwaniania się od życia i poszukiwanie chwilowej rozrywki, nie kształtuje smaku artystycznego, nie wychowuje — jest kieliszkiem „quasikulturalnego alkoholu“.

Uwagi te mogą wydać się skrajnymi. Dotychczas brak było jednak widzowi materiału porównawczego. Obecny sezon wprowadza szereg ciekawych filmów, które pozwolą zestawić i porównać produkcję amerykańską z produkcją innych krajów.

Wartościowym wydarzeniem jest wprowadzenie na nasze ekrany produkcji włoskiej. Zobaczymy takie filmy, jak realizowany przy pomocy bardzo prostych środków „Rzym miasto otwarte“, „Pucybuty“ — dramat z życia dzieci ulicy, wspaniały obraz z okresu walk o wolność „Paisa“. Podkreślić trzeba, że film włoski nie waha się poruszyć i niejednokrotnie ostro rysować zagadnień problematyki społecznej. Obrazy włoskie cechuje realizm, poszukiwanie nowych rozwiązań, wysoki poziom artystyczny, świetna fotografia i bogate operowanie pięknymi umiejętnie wykorzystanymi plenerami.

Jednym z ciekawych filmów sezonu będzie film czeski „Krakatit“— oryginalne artystycznie ujęcie zagadnienia bomby atomowej. Wymienić również trzeba obraz Orsona Wellesa „Obywatel Kane“. Ten młody reżyser scenarzysta i aktor w jednej osobie (doskonały jest jego obraz „Stranger“ historia ukrywającego się w Ameryce hitlerowca) jedna z największych obecnie indywidualności filmu amerykańskiego, autor sławnego przed wojną słuchowiska o najeździe Marsjan na New York, które poderwało na nogi obywateli tego miasta i na dobrych kilka godzin zakłóciło im spokój, stworzył obraz — zwłaszcza pod względem formy — rewelacyjny.

Kinematografia angielska zaprezentuje kilka swoich najcelniejszych pozycji. Ze sławnej serii filmów dickensowskich zobaczymy „Nicholas Nickleby“ i, wspaniale utrzymany w nastroju (sceny na cmentarzu!) „Wielkie nadzieje“ — oba bardzo starannie opracowane i zaopatrzone w dobrą i inteligentną obsadę aktorską.

Interesującą nowością będą liczne w tym roku filmy kolorowe. Wśród nich zobaczymy angielskie: nakręcony pod osobistym dozorem G. B. Shaw'a „Cezar i Kleopatrą“, „Sprawa życia i śmierci“, „Czarny Narcyz“ — ten trzeci stanowiący ostatni szczyt rozwoju angielskiego filmu barwnego. Przeróbka filmowa sztuki Shaw'a „Cezar i Kleopatra“ nie posiada takich walorów filmowych jak wyświetlany już Pygmalion, ale zrealizowana została z wielkim rozmachem i olbrzymim nakładem środków i pieniędzy. Najciekawszym filmem jest „Sprawa życia i śmierci“ w którym barwa gra samodzielną rolę stanowiąc środek ekspresji artystycznej. Ziemi pozostawiono tam jej naturalne kolory — natomiast wszystko co dzieje się w niebie utrzymane jest w jednolitej sino - niebieskiej barwie. Piękne i pomysłowe dekoracje (schody do nieba), doskonała gra aktorów i oprawa muzyczna uzupełniają ten obraz.

Żałować tylko trzeba, że poza ogólnie nam znanymi kinematografiami radziecką, francuską, amerykańską i angielską na ekrany nasze zbyt jeszcze rzadko wchodzą obrazy produkcji kinematografii młodych, szukających wciąż jeszcze własnego wyrazu, lecz posiadających już poważne osiągnięcia. Poznamy w tym roku dokładnie produkcję włoską. Pozostają wciąż jeszcze kraje takie jak np. Dania, Szwecja, Węgry (doskonały obraz „Gdzieś w Europie“) których produkcja wnosi nowe rozwiązania, dla których film jest dziełem artystycznym i środkiem oddziaływania społecznego.

LESZCZ

KOMUNIKAT
Instytutu Kulturalno - Oświatowego

Przeprowadzona przez Instytut Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika“ powszechna ankieta czytelnicza przyniosła do tej pory 60.000 wypełnionych kwestionariuszy z terenu całej Polski. Jak na ankietę o charakterze społecznym jest to ilość b. poważna, pozwalająca na ogólną ocenę czytelnictwa. Nie daje jednak jeszcze podstawy do dokładnego zobrazowania stanu czytelnictwa i potrzeb czytelniczych według województw, gdyż na 300 powiatów Biuro Badania Czytelnictwa otrzymało:

dostateczną ilość wypowiedzi — ze 104 powiatów,

nie otrzymało jeszcze zupełnie wypowiedzi — z 57 powiatów,

zaś z terenu pozostałych 139 powiatów nadeszły nieduże ilości od kilkunastu do kilkudziesięciu kwestionariuszy na powiat.

Jak się okazało, powszechna ankieta czytelnicza nie wszędzie znalazła należyte zrozumienie u czytelników, a pośredniczący w jej przeprowadzeniu bibliotekarze natrafiali na sporo trudności. Instytut Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika“ pragnie zebrać jak najbardziej pełny materiał statystyczny który by reprezentował stan czytelnictwa i potrzeby czytelnicze wszystkich terenów i dlatego postanowił przedłużyć akcję powszechnej ankiety czytelniczej jeszcze na wrzesień i październik br. Biuro Badania Czytelnictwa rozsyła ponowne zawiadomienia do wszystkich bibliotek zwłaszcza w tych powiatach, które nie dały dostatecznego materiału lub też nie dostarczyły go w ogóle. Instytut Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika“ pragnie za pośrednictwem prasy wyrazić gorące podziękowanie czytelnikom, którzy już wzięli udział w ankiecie oraz bibliotekom jako też instytucjom, które pośredniczyły w jej przeprowadzeniu. Równocześnie zwracamy się do wszystkich czytelników, którzy doceniają znaczenie badań nad czytelnictwem a jeszcze nie wypełnili kwestionariuszy, by dokonali tego do dnia 31 października br. w najbliższej, dostępnej im bibliotece.

DO P.T. PRENUMERATORÓW

Uprzejmie przypominamy o konieczności opłacenia prenumeraty na IV kwartał.

Zamawiających prenumeratę prosimy o wyraźne zaznaczenie na przekazie, że wpłata dotyczy nowej prenumeraty.

ADMINISTRACJA

Zbigniew Czarkowski

ALIANCI

Ta dziewczyna wszystkim przewróciła w głowie. Już nie mówię o Branku, Joachimie i o mnie. Stanowiliśmy osobną paczkę młodych i nic w tym dziwnego nie było. Ale kochał się w niej i stary pan Korn, szanujący się adwokat mojżeszowego wyznania, i kierownik elektrowni — leciwy Bannhäfner, i zawiadowca tartaków pan Melcer, który ze względu na nadzieje swojej córki miał już wkrótce zostać dziadkiem.

Ale co tu dużo mówić. Wiadomo, że Ilonce kasjer wypłacał miesięczną pensję przez godzinę, podczas gdy mnie załatwiał w dwie minuty. A przecież od roku 1885 do 1937 sądzono, że łysy, o odstających uszach i wybałuszonych oczach kasjer może się zakochać tylko w banknotach, które kolejno w ciągu półwiecza przez jego ręce przechodziły. A inżynier Jerzy, u którego Ilonka odbywała praktykę rolniczą, twierdził z westchnieniem, że się o 30 lat za wcześnie ożenił. Wzdychali zresztą wszyscy i palacz w kotłowni i Kubik, który przy maszynie do zbijania pak pracował i Grzonka, który sortował deski i Mużyński, co w jadalni sprzątał i Opiela, który miał ogród warzywny i dotychczas za wszystkie kobiety świata jednej główki kapusty włoskiej by nie dał.

Ilonka jakby nie wiedziała o niczym. Miała dziewiętnaście lat, skończyła właśnie pierwszy rok rolnictwa na uniwersytecie w Budapeszcie, pochłonięta była pracą i z zapałem mówiła o swoich doświadczeniach z nowym gatunkiem pszenicy. Uśmiechała się do wszystkich, bo Ilonka nie mogła się nie uśmiechać.

I wtedy każdy musiał przyznać, że Ilonka jest śliczna; długie, złotolniane warkocze spływały jej przez ramiona wzdłuż obcisłego gorseciku, okalając szczuplutką opaloną twarzyczkę jakby złocistymi ramkami. Wysokie, nieskalane żadną zmarszczką czoło nadawało rysom wyraz jakiejś szlachetnej powagi i zadumy. Ale ciemne, łagodnym łukiem opadające brwi i ukryte w długich rzęsach chabrowe oczy, dziewczęce, roześmiane, beztroskie — kazały zapomnieć o zadumie czoła, a tylko patrzeć w to radosne piękno, kochać jasny uśmiech i zapomnieć o całym świecie.

Nic dziwnego, że Branko szalał, Joachim — chudy jak szczapa, wysoki Łotysz — wywracał oczy niemal białkami na wierzch, a ja... udawałem wprawdzie tylko przyjaznego obserwatora, ale we łbie mi się mąciło i — bardziej niż zwykle — mówiłem bez sensu! Zresztą język niemiecki, jedyny jakim mogliśmy się w naszej czwórce porozumieć, nastręczał wiele trudności, kończąc się niekiedy tylko wymowną gestykulacją. A czasem, kiedy nawet udało mi się jakieś zdanie, zaraz Łotysz wzdychał i podnosił w górę oczy, a Branko wsiadał na mnie z taką gryzącą ironią, że odparować nie mogłem.

Bywało — mówiłem do Ilonki:

— Nie widziałem nigdy tak pięknych oczu... tak głębokich, tak jasnych, jak gwiazdy na błękicie nieba...

A Branko śmiał się głośno i z miejsca odpalał:

— Was meinst du, Biszka?!*)

*) Cóż sobie wyobrażasz, Zbyszku?!

Te wspaniałe oczy są podobne do zimnych, bezmyślnych gwiazd? Ja widzę w nich jakieś niewypowiedziane światło, poetycką zjawę, czarowne natchnienie...

— Du hast Recht. Du hast Recht — mówił z przekonaniem Joachim, sapiąc głośno na znak, że nie tylko słowami Branka popiera.

Innym razem, na wycieczce, kiedy Ilonka z wdziękiem boginki leśnej schodziła z połoniny, powiedziałem do Branka po polsku:

— Patrz, jaka cudna sarenka!

— Głupia jesteś, Biszka; sarenka przy Ilonka jest taka... taka ciężka mamuta.

— Sam jesteś mamut. I wypraszam sobie abyś do mnie mówił „głupi“.

— Jak nie chcesz, to nie będę mówił, ale głupia jesteś.

Prawie dochodziła do pięści, tylko w tym momencie Ilonka odwróciła się i zapytała z uśmiechem:

— Cóż to za gorąca dysputa odbywa się między wami?

— Wir sprechen über... Mówiliśmy... o różnicy między wiązem a cisem.

— Och, ci niepoprawni leśnicy! — śmiała się srebrzyście. I tak schodziły dni pełne gorączkowych przekomarzań, cichej rywalizacji i walki o bardziej wyłączny uśmiech Ilonki. Ale Ilonka śmiała się dalej tak samo do Branka jak i do gajowego Rabija, tak samo do mnie, jak do stareg Cylewskiego, maszynisty kolejki wąskotorowej. Aż Branko chodził nerwowo po pokoju, bił się w czoło, zaciskał pięści, przystawał przede mną i wyrzucał zduszonym szeptem:

— Biszka! Biszka! Ja się chyba zapalił.

I rzeczywiście oczy Jugosłowianina, dwa czarne węgle, płonęły, muskuły śniadej twarzy grały, a kędziory kruczych włosów niesfornie rozsypywały się na boki. Wtedy zazdrościłem temu najprzystojniejsze mu diabłu jego urody, fantazji i południowej krwi. Ale robiłem tym bardziej chłodną minę:

— Wylej sobie wiadro wody na łeb i zagaś się.

. . . . . .

Okres wakacyjnej praktyki dobiegał końca; lasy skolskie złociły się i czerwieniły na stokach, wrześniowe poranki były coraz chłodniejsze, a jelenie wychodziły na zręby i połoniny, aby grać pieśń miłosną. Mgły snuły się srebrnym woalem nad kolonią Skolego i w księżycowe noce coraz częściej słychać było wycie wilków od dalekiej Paraszki lub nerwowe szczekanie kozła na wywrotach Butywli.

Skole jednak zdawało się nie dostrzegać wszystkich zmian, jakie w naturze zachodziły; po staremu krążyły plotki tak szare i tak jednostajne jak stuk tartacznych maszyn. Czasem tylko było coś ciekawszego — to szeptem podawane wiadomości o młodych praktykantach. Więc raz gruchnęła wieść, że jeden poszedł do lasu i żył tam jak pustelnik. Inny odbył samotnym wagonikiem kolejki wąskotorowej 14-kilometrową podróż; cudem się nie zabił, zjeżdżając przed nosem rozpędzonej lokomotywy na inny tor. A trzeci skoczył podobno z dwudziestometrowej wysokości do wody. Nic mu się nie stało choć zarył głową w muliste dno. Szeptano sobie, że wszystko to miało na celu zaimponowanie Ilonce, co też może nie było dalekie od prawdy.

Najciekawszą wiadomością, i tym razem nie plotką było, że Dyrektor Lasów urządza festyn na pożegnanie praktykantów. W historii Skolego nigdy jeszcze podobna rzecz nie miała miejsca. Oczywiście było cichą tajemnicą, że Dyrektor też się zakochał w Ilonce. I że festyn jest tylko dla niej.

Zaczęły się przygotowania; miały być różnego rodzaju rozrywki, jak bieg w worku, wspinaczka po słupie, koło szczęścia — i mnóstwo innych. Specjalnie przygotowywano loterię i nawet na ten cel Ilonka zakupiła większą ilość kurcząt jako jeden z fantów.

Już na samym festynie zobaczyłem, że coś jest nie w porządku. Ilonka wyraźnie unikała Branka, szukając wyłącznie towarzystwa Joachima i mego. Oczywiście Joachim o Bożym świecie nie pamiętał i mruczał bez związku jakieś najładniejsze wyrazy w łotewskiej niemczyźnie na określenie swojego zachwytu. A ja? Chyba byłem bardzo spokojny, tylko na każdego, kto do nas nawet przypadkiem się zbliżył, patrzyłem wzrokiem krogulca na uwięzi, a Joachimowi najchętniej — bym łeb urwał. Branko tym czasem szalał. On dosięgnął nagrody na słupie, on zdobył pierwsze miejsce w tańcu, on jedyny przeszedł po rozwieszonej linie, on rzucał najwięcej pieniędzy muzykantom i wypijał największe ilości wódki. Ale brwi miał zmarszczone, białe zęby zaciskał i zachowywał się tak jakby miał już dość życia, festynu i... Ilonki.

Późną nocą znaleźliśmy się w naszej kwaterze. Łotysz runął jak zwykle przed łóżkiem i, sapiąc głośno, odmawiał modlitwy. Ja udawałem, że składam ubranie, a Branko siedział i zgrzytał zębami.

Spił się, głupi — pomyślałem.

Lecz w tej chwili Branko, jakby wyczuwając co myślę, powiedział cicho:

— Biszka! Ja nie jest pijany. Ja jest bardzo nieszczęśliwy.

Normalnie wykpiłbym go tak, aż by mu się w głowie zakręciło. Ale teraz zobaczyłem, że z Branka kpić nie wolno. Machinalnie wyciągnąłem papierosy, poczęstowałem go, siadłem na łóżku i zapytałem tak łagodnie, jak mnie tylko stać na to było:

— Co ci jest, Branko?

— Biszka! Biszka... nieszczęście.

Łotysz tymczasem zrobił ogromny krzyż na piersach, westchnął trzy razy pobożne i, widząc nasze poważne miny, siadł na swoim łóżku tak ciężko, aż się wygięło. Branko widocznie nie chciał wtajemniczać Joachima, gdyż ciągnął dalej po polsku:

— Nieszczęście Biszka i wszystko przez te kurżatka.

— Jakto przez kurczątka? Co się stało?

Zwinął zaczętego papierosa w palcach.

— Wiesz Biszka, że Ilonka prosiła mnie zanieść kurżatka na zbawu. Tak ja wziął koszyka i ciągnął przez całe Skole. Ale na rynku ja się zabaczyl, a tu jedno kurżatko furrrrrrr! Ja zaczął biegacz, łapacz a tu drugie kurżatko furrrrrr! Ja zaczął biegacz, łapacz, a tu t zecie kurżatko...

— No dobrze już, dobrze. Ile tych kurżatek było?

— Biszka — kurżatek było mnóstwo, bo co ja jedno złapał, to druga dwa uciekała. W końcu ja siadł na ulicy i zaczął wołać na nich tiu, tiu, tiu, tiu — żeby kurżatka sama przyszła do koszyka. Wtedy nadeszła Ilonka i zaczęła się śmiacz... Biszka, Biszka. — jak ona się śmiala!

Gdyby Branko patrzył na mnie, nie uszedłby na pewno jego uwagi i mój uśmiech zadowolenia. Bo by ło jasne, że widok tego wspaniałego chłopca, siedzącego z rozpaczą nad koszykiem na rynku i wołającego tiu tiu tiu tiu żeby „kurżatka sama przyszła do koszyka“, nie na leżał do widoków bohaterskich. Tym samym szanse Branka w oczach Ilonki musiały upaść całkowicie.

— Cóż dalej? — zapytałem, siląc się na powagę.

— ...aż nareszcie zebrala się kupa ludzi i polapala kurżatka. A Ilonka ciągle się śmiala. I powiedziała, że ja jest taki „ungeschicht“; jak to po polsku?

— Niezdara — poddałem skwapliwie.

— ...niezdara... Tak ja się zezłościł i zaraz kiedy my wyszli za miasto, ja chcial zlapacz Ilonka za włosy i bić...

Zerwałem się z łóżka i chwyciłem go za rozpiętą koszulę.

— Śmiałeś tak pomyśleć, głupcze?! I co dalej? Mów!

Łotysz, który drzemał już dłuższy czas, napróżno czekając kiedy mu jakieś urywki przetłumaczymy, otworzył oczy i zapytał przeciągle:

— Waaaas?

Branko jednak nie rzucił się na mnie jak zwykle, gdyśmy się czubili; odsunął łagodnie moje ręce i wskazał mi miejsce na łóżku. Dziwna rzecz — posłuchałem, siadłem.

— Ja ją chwycil mocno w ramiona, Biszka, i... i...

— I co?...

— Ja ją pocałował, a ona uderzyla mnie z całej siły w pisku — wyrzucił jednym tchem.

Uniosłem się. Opanował mnie jakiś dziwny spokój choć krew uderzała do głowy, a równocześnie jakby zimne mrówki przebiegały wzdłuż kręgosłupa. Popatrzyłem na Branka i powiedziałem z całą powagą dziewiętnastu lat:

— Że ona uderzyła ciebie w twarz, to sprawa między nią a tobą. Ale to nie wszystko; jeszcze my musimy z sobą porozmawiać...

— Jakto? — zapytał, podnosząc zdziwione oczy.

— Chyba pan rozumie, panie Branko Kalinovic, że...

— Tak. Rozumiem — przerwał.

. . . . . .

Przedpołudnie następnego dnia miałem bardzo zajęte; wśród Izraelitów, Węgrów, Czechów i wielu innych narodowości Skolego znaleźć kogoś, kto by się znał na tego rodzaju delikatnych sprawach, zbyt łatwo nie było. Wreszcie, po długich ceregielach, zgodzili się wystąpować w moim imieniu dwaj najspokojniejsi w świecie ludzie. Co za ludzie! — obrazili mnie z miejsca, oświadczając kategorycznie, że do żadnej szczeniackiej awantury nie dopuszczą. Że moda na pojedynki minęła sto lat temu.

Cóż zrobić? — zgodziłem się pokornie na wszystko. Aby nie mieszkać przez następną dobę ze śmiertelnym wrogiem, przeniosłem swoje rzeczy do innego pokoju i zabrałem się do pisania listów; pierwszy był oczywiście do matki. Głupi i nieudany; miał być niby na wesoło, a wyglądał jakbym go pisał już na katafalku. Zaczynał się od naiwnego zdania: „Gdyby mi się coś przypadkiem stało, to...“. Przeczytałem raz i drugi, podarłem i myślałem co by to takiego napisać. Nie kleiło się nic za Boga.

W tej chwili weszła do pokoju... Ilonka. Była bardzo poważna, dziwnie zadumana i jeszcze ładniejsza niż zawsze. Wydawało mi się tylko, że nieco przybladła. Przywitaliśmy się serdecznie.

— Zbislau... — powiedziała po chwili.

— Co, Ilonka?

— Zbislau... Co jest między tobą a Brankiem?

Pytanie mnie zaskoczyło; gdyby zapytała „kto“ jest między mną a Brankiem, odpowiedziałbym bez wahania: Ty. W tym wypadku jednak zrobiłem obojętną minę.

— Zadajesz ciekawe pytanie, Ilonka. Nie wiem o co ci chodzi.

— Ty wiesz... Zbislau, ty wiesz... Kochaliście się przecież jak bracia. O co te gniewy?

— Ale to żaden gniew, Ilonka. Ot takie chwilowe nieporozumienie koleżeńskie.

— Małe nieporozumienie?! Dla czego więc wyzwałeś go na pojedynek?

— Ilonka! Co za pomysły?! Jaki pojedynek?!

Rozpłakała się.

— Zbislau — mówiła przez łzy — taki byłeś dla mnie zawsze dobry i grzeczny... tak ci wierzyłam... A teraz nie chcesz powiedzieć prawdy... Mnie Joachim mówił, że sprzeczałeś się o coś z Brankiem, że wyzwałeś Branka przeze mnie, że...

Nie było rady. „Głupia tyka — pomyślałem o Joachimie — połamię mu za to te chude kości“. Wziąłem Ilonkę za ręce i mówiłem, patrząc w jej śliczne zapłakane oczy:

— ...widzisz, Ilonka... nie miałem zamiaru kłamać, ale trudno mi opowiadać o sprawach, gdzie ty grasz główną rolę... Widzisz — ja musiałem tak zrobić, bo on ciebie obraził... Bo... ktoś musi ująć się za tobą... No, zresztą wiesz, że Branko postąpił z tobą niełądnie...

— Zbislau — kiedy to ja go pierwsza zaczepiłam. Ja się zaczęłam niepotrzebnie z niego śmiać, ja...

— Nie rozumiem. Czy ty go bronisz?

Popatrzyła na mnie jakby ze zdumieniem.

— Tak, Zbislau.

— Czemu?...

— Zbislau... ja go kocham!

Świat zawirował mi przed oczyma. A ja głupi myślałem... Ach głupi. Po stokroć głupi.

Popatrzyłem jej w oczy.

— Ilonka... ty wiesz, że ja go wyzwałem...

— Wiem, Zbislau; Branko przyjdzie za chwilę i podacie sobie ręce. Będziemy przyjaciółmi Zbislau zawsze. Będziemy pamiętać o sobie i kochać się; taka — wiesz? — trójka hultajska...

— Nie; czwórka — powiedziałem, widząc zbliżającego się Branka z Łotyszem.

— Tak. Czwórka — uśmiechnęła się przez nieobeschłe jeszcze łzy.

Za trzy dni najpiękniejsza para ludzi odjeżdżała w świat; uścisnąłem rękę Branka, patrzyłem długo w oczy Ilonki.

Do tego czasu je widzę.

Zbigniew Czarkowski

Przed nową edycją A. Mickiewicza

W kilka lat po pierwszej wojnie światowej „Książnica - Atlas" wydała książkę, liczącą 228 stron, z licznymi ilustracjami. Była to bardzo ciekawa gawęda bibliofilska Aleksandra Semkowicza, pt. **„Wydanie dzieł Adama Mickiewicza w ciągu stulecia"**, a właściwie była mowa o wydaniach oryginalnych, ogłoszonych za życia poety w latach 1822 — 1855. Semkowicz rozpoczął swoją gawędę od omówienia skromnego druku ulotnego, zawierającego wiersz do Joachima Lelewela, a zakończył ją również skromnym jednokartkowym drukiem mickiewiczowskim, ostatnim za życia poety. Była to łacińska **„Oda do Napoleona III"**.

Po uzyskaniu niepodległości sejm suwerenny na wniosek posła Anusza powziął w 1920 roku pamiętną uchwałę pierwszego pełnego wydania dzieł Adama Mickiewicza przez Państwo Polskie.

Przez 20 lat naszej niepodległości nie zdążyliśmy doprowadzić edycji do końca, choć trzeba przyznać, że było to wydanie pomnikowe, opracowane przez najwybitniejsze siły naukowe, przy użyciu całego aparatu naukowego i przy wyzyskaniu całej wiedzy o autorze „Dziadów" i o jego dziełach.

Ostatnie wydanie popularne będzie odpowiadało wymogom nauki. Gwarantują to nazwiska uczonych tej miary, co prof. Julian Krzyżanowski, prof. Stanisław Pigoń, prof. Konrad Górski, Leon Płoszewski i Leonard Podhorski - Okołów.

Całość wydania narodowego składać się będzie z 15 tomów. Pierwsza seria, tomy I — IV, obejmie utwory poetyckie. Tom I zawierać będzie poezje w opracowaniu Leona Płoszewskiego.

Tom II — powieści poetyckie w opracowaniu Konrada Górskiego („Grażyna", „Konrad Wallenrod" i „Giaur" i młodzieńcze próby poetyckie oraz przekłady poezji z języków obcych).

Tom III — zawierać będzie utwory dramatyczne, a więc „Dziady" w opracowaniu prof. Stanisława Pigonia.

Tom IV — „Pan Tadeusz" w opracowaniu Juliana Krzyżanowskiego.

Seria II — tomy V — VII obejmą pisma prozą, „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego", artykuły i pisma historyczne...

Seria III — tomy VIII i IX będzie zawierała literaturę słowiańską, wykłady paryskie Mickiewicza oraz artykuły z „Trybuny Ludów".

Nakoniec seria IV — tomy XII — XV obejmie przemówienia Mickiewicza i listy.

Dzięki uzyskanym kredytom przez Spółdz. Wydawn. - Oświat. „Czytelnik", której powierzone zostało wydanie dzieł poety — cena tak została obliczona, aby stała się dostępna dla każdego.

Pierwsza seria licząca 4 tomy ukaże się w połowie listopada. Spółdz. „Czytelnik" dołożyła wszelkich starań, aby ta edycja posiadała godną szatę graficzną, a więc bezdrzewny papier, nowe czcionki o pięknym kroju.

St. P.

TYDZIEŃ KULTURALNY

SPRAWA MAJDAŃSKIEGO

X Zjazd Ginekologów Polskich, który obradował w Warszawie w dniach 17 — 19 września tego roku, oszacował — w referacie profesora doktora Pryżewicza — liczbę zabitych dzieci nienarodzonych w ciągu 20-tu lat na 8,5 miliona. W niespełna kilka dni później dowiedzieliśmy się, że władze prokuratorskie wszczęły dochodzenia przeciwko Walentemu Majdańskiemu. Okazuje się, że kierownik oddziału szpitala ginekologiczno - położniczego, mieszczącego się w domu klasztornym na Jasnej Górze, oskarża Majdańskiego o zniesławienie, dotknięty artykułem „Czwarta wojna światowa szaleje", zamieszczonym w swoim czasie w „Dziś Jutro". Artykuł ten pomieściliśmy 21.IV.1946 roku. Proces wytacza się w roku 1948. Wobec Majdańskiego, jako podejrzanego o przestępstwo z artykułu 255 K. K. Zastosowano środek zapobiegawczy w postaci zakazu wydalania się z miejsca pobytu.

ZAPOWIEDŹ LITERACKICH KONKURSÓW

REFERAT Literatury dla dzieci i młodzieży w Departamencie Twórczości Artystycznej Min. Kultury i Sztuki przygotowuje dwa konkursy literackie: a) na zbiór polskich baśni ludowych w opracowaniu literackim.

b) Konkurs na powieść społeczną dla dzieci.

BĘDZIE ŁAD W ETERZE

W Kopenhadze zakończyły się prace Międzynarodowej Konferencji Radiofonicznej strefy europejskiej. Zadaniem konferencji było podpisanie konwencji o rozdziale fal radiowych 32 krajów Europy. Na konferencji reprezentowane było również Polskie Radio.

Od dłuższego czasu w eterze panował znaczny chaos, uniemożliwiający radiosłuchaczom dobry odbiór, gdyż jedne stacje zagłuszały audycje innych, przeszkadzając sobie wzajemnie. Spowodowane to było tym, że na falach długich była ograniczona ilość kanałów, a w radiofonii średniofalowej pracowała nadmierna ilość stacji. Chodziło więc o ustalenie odpowiednich odstępów w długości fal poszczególnych stacji.

Po zbadaniu istniejącego stanu rzeczy konferencja uzgodniła plan, mający zapewnić każdemu państwu dobry odbiór własnych programów bez przeszkód ze strony stacji, pracujących na długości fal sąsiadów.

OPIEKA NAD KONKURSOWICZAMI

POWOŁANA została przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Komisja Pedagogiczna, której zadaniem ma być opieka nad pracą artystyczną kandydatów na IV Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina. Przewodniczącym komisji mianowany został prof. Bolesław Woytowicz a członkami: rektor Zbigniew Drzewiecki, prof. Jan Ekier, prof. R. Koczalski, prof. Henryk Sztompka, prof. St. Szpinalski i prof. J. Żurawlew.

REORGANIZACJA MUZEUM W LUBLINIE

PROWADZONE są prace nad odbudową i reorganizacją Muzeum w Lublinie.

Placówka lubelska otrzyma z Muzeum Narodowego w Warszawie sto płócien najwybitniejszych malarzy polskich. Planowane jest zorganizowanie w Muzeum galerii malarstwa współczesnego. Uroczyste otwarcie (poco zaraz uroczyste?) nastąpić ma w dniu 1-go stycznia 1949 r.

STACJA NAUKOWA INSTYTUTU ZACHODNIEGO W OLSZTYNIE

INSTYTUT Mazurski w Olsztynie posiada pokaźny dorobek, mimo trudnych warunków materialnych i braku odpowiednich pracowników.

Instytut wydał pracę prof. Rosponda „Druki mazurskie w XVI wieku", Leydinga - Mielechiego „Słownik nazw miejscowych okręgu Mazurskiego", oraz 18 prac drobniejszych związanych z zagadnieniami terenu, które zostały wydrukowane w poszczególnych numerach „Komunikatu Działu Informacji Naukowej".

Staraniem Instytutu zorganizowane zostały wystawy: 1) Pamiątek i druków plebiscytowych (następnie przewieziona do Warszawy i Działdowa), oraz 2) Kopernika i Druków Mazurskich XVI — XX wieku.

Instytut posiada bibliotekę liczącą ponad 6.000 tomów dzieł, związanych z terenem b. Prus Wschodnich, oraz cenne archiwum.

Instytut prowadzi pracę repolonizacyjną, założył 2 Uniwersytety Ludowe — Mazurski i Warmiński — przejęte obecnie przez WRN, wydał szereg prac etnograficznych i regionalnych, oraz 2 roczniki „Kalendarza dla Mazurów i dla Warmiaków".

Konkurs zorganizowany przez Instytut na pamiętnik działacza Mazura i Warmiaka skupił przy Instytucie 15 autochtonów, którzy dostarczą cennego materiału.

W ostatnich dniach nastąpiło uroczyste otwarcie tej placówki już jako stacji naukowej Instytutu Zachodniego.

Przekształcenie Instytutu Mazurskiego, podobnie jak Instytutów Śląskiego i Bałtyckiego w stacje naukowe Instytutu Zachodniego dokonane zostało dlatego, by nastąpić mogło ujednolicenie i skoordynowanie pracy placówek, które dotychczas pracowały niezależnie od siebie.

ZAKONNICA DOKTOREM FILOZOFII

NA Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego otrzymała doktorat filozofii z zakresu filozofii angielskiej Matka Gertruda Żurawska, zakonnica Zgromadzenia Najśw. Serca Jezusowego (Sacre - Coeur), dyrektorka Gimnazjum i Liceum w Polskiej Wsi pod Pobiedziskami.

DOM PRACY LITERATÓW

W Oborach k/Konstancina otwarty został dn. 19 bm. Dom Pracy Literatów.

Do użytku pisarzy zostały oddane osobne pokoje z pościelą i całodziennym utrzymaniem (za 400 zł). Dom znajduje się w pięknym, starym parku zajmującym przestrzeń jednego hektara.

Pisarze mający nieodpowiednie warunki mieszkaniowe w Warszawie chętnie napewno korzystać będą z okresowych pobytów w Oborach, gdzie w ciszy i spokoju będą mogli wykonać zamierzone prace.

BOY CONTRA KRECZMAR

Jan Kreczmar ogłosił w ubiegłym tygodniu na łamach „Nowin Literackich" (Nr. 39) bardzo ciekawą pracę pt. „W poszukiwaniu metody", czyli, jak to określił sam autor, „rzecz o sztuce aktorskiej".

Wypowiedź Kreczmara skierowana jest „przeciwko emocjonalnej metodzie i intuicyjno - natchnieniowemu pojmowaniu sztuki aktorskiej". Autor jakkolwiek nie ma zamiaru „ze sceny rugować" emocji i wzruszeń, opowiada się za tezą, iż „jedyną twórczą drogą dla aktora współczesnego jest szukanie inspiracji w treści problemowej, zagadnieniowej utworu i roli, z tej treści czerpanie podniet intlektualnych i uczuciowych dla swojej sztuki."

„Bredzenie o graniu w transie, o zatracaniu świadomości, że się jest aktorem X, a nie odtwarzaną postacią, o przeistoczeniu się mistycznym w tę postać jest najczęściej zwykłą bujdą lub mistyfikacją, a zawsze zaprzeczeniem sztuki aktorskiej".

Mocne to słowa i nie bardzo mam ochotę zgodzić się z nimi w całej ich rozciągłości. Pamiętam jednak inne zdanie z artykułu Kreczmara: „Nasi publicyści teatralni — to, jak wiadomo, zawodowi literaci lub dziennikarze. Któż z nich zechce i któż z nich **może** (podkreślenie M. M.) pisać o sprawach"... aktora.

Doskonały odtwórca „Fantazego" odebrał mi z góry prawo głosu w dyskusji do której zaproszeni zostali właściwie tylko aktorzy.

Nie czuję się wcale dotknięty tym, iż w sposób bardzo kurtuazyjny zamknięto mi buzię. Kreczmar w zasadzie ma rację. O najintymniejszych, że tak powiem, sprawach aktorskich mogą mówić tylko sami aktorzy. Głosy uboczne muszą być najczęściej błędne, choćby z tego względu, że są zazwyczaj dyktowane tylko jakąś chwilową podnietą, dorywczym spostrzeżeniem.

Podejdźmy jednak do sprawy z innej strony. Boy bardzo szanował pracę aktora. Często stwierdzał on słusznie, iż aktorzy... zawsze będą stanowić jego (teatru — p. mój) rdzeń i istotę." Autor wielotomowego „Flirtu z Melpomeną" zdawał sobie sprawę z tego, że „praca twórcza prawdziwego autora — artysty jest tak wyczerpująca nerwowo, tak bardzo musi on w niej, wedle francuskiego wyrażenia, „płacić swoją osobą", iż niezbędnym warunkiem dla niej jest atmosfera szczerego i troskliwego zainteresowania"...

Mimo to, jakby przeczuwając, iż Kreczmar nie uzna jego głosu za czynnik mogący mieć wpływ na pracę aktora (Boy był pod tym względem tylko „zawodowym literatem", sam na scenie nie występował, chyba w jubileuszu jakiegoś aktora), chętnie wykręcał się sianem z zarzutu, iż niewiele pisze o grze aktorów: „wymyślają nam recenzentom, że nie dość piszemy o grze aktorów: co do mnie, wyznaję, że nie bardzo wiem jak się o tym pisze. To tak jakby opisywać zapach róży, albo hiacyntu. Powąchaj".

Powiedziane to pięknie, ale... jest to przecież tylko sprytna ucieczka od tematu.

Raz jednak Boy rozgniewał się srodze na aktorów. Było to A.D. 1925 kiedy to „Teatr Mały" zapowiedział jako najbliższą premierę sztukę „Tumor Mozgowicz" Witkiewicza. Otóż, po próbie czytanej, część aktorów oświadczyła, że sztuka jest niezrozumiała i że w niej grać nie będą. Nic nie pomogły perswazje reżysera i prośby, aby mu zostawili bodaj kilka dni czasu, iżby ich w ciągu prób mógł wprowadzić w ten utwór; z zaciekłym uporem i brakiem woli nie zgodzono się na to, i zbojkotowano z miejsca sztukę".

To istotnie bardzo niezwykłe wydarzenie wyprowadziło Boy'a z równowagi. Wypomniał aktorom jakto było przed prapremierą „Wesela", a później stawia zagadnienie dość ostro: „czy nieodzownym jest, aby aktor rozumiał sztukę, lub nawet aby całkowicie zrozumiał swą rolę? To bardzo względne, gdyby brać tak ściśle, któryż aktor mógłby grać, dajmy na to, Fausta"?

Od tej historii pozostał w Żeleńskim jakiś uraz. Nie lubił, gdy się mówiło o analizach ról, nie lubił myślenia u aktora. Zrazu to były drobne przycinki. „Modna jest obecnie w teatrze analiza tekstu; rzecz godna pochwały. I tak, jeden z profesorów szkoły dramatycznej strawił podobno kilka godzin na dociekaniu z młodymi uczniami, jakim Gustaw ze „Ślubów Panieńskich" byłby obywatelem, czyby poszedł w 1830 roku do powstania, etc... Szczęściem w teatrze wszystkie te nazbyt głębokie dociekania spływają zwykle w praktyce po aktorze bez śladu, kiedy rasowy Gucio wpadnie przez okno na scenę. **Gra jak mu serce dyktuje** (podkreślenie M. M.), zapominając doszczętnie o przypuszczalnym stosunku dzieła do nocy listopadowej"... Były to jednak tylko niewinne zaczepki.

W dziewięć lat później, przy okazji premiery „Hamleta" w Teatrze Kameralnym, Boy sprecyzował zupełnie wyraźnie swój pogląd na stosunek aktora do roli. Całe to „przygotowanie się" — czytamy w „Romansach cieniów" — rozczytywanie, kunktatorstwo, jest przeważnie bezcelowe. Aby grać Hamleta, wcale nie trzeba dużo myśleć i za dużo rozumieć, trzeba mieć przede wszystkim warunki, potem namiętność, wreszcie technikę słowa. **Bez myślenia się obejdzie; pomyślał już za aktora Szekspir.** (podkreślenie M. M.). Kiedy aktor ma wszystko co trzeba, Hamlet to jest samograj. Cała rola ma zresztą tyle sprzeczności, że wszystko się w niej zmieści. Cokolwiek aktor zrobi, byle z talentem, zawsze okaże nową tajemnicę Hamleta, który jest splotem tajemnic"...

Po co wydobywam z pyłu zapomnienia myśli Boy'a pisane lat temu 25 i 13-cie? Czy poto by zrobić na złość Kreczmarowi? Czy poto, by podważyć wartość wypowiedzi Kreczmara niewątpliwym autorytetem w dziedzinie teatru, autorytetem z którym możnaby długo i obszernie dyskutować w wielu wypadkach, nawet tylko problematyki teatrów dotyczących. Byłaby to złośliwość chybiona i godna nagany..

Zupełnie celowo nie opowiadam się tu ani za Boy'em, ani za autorem „rzeczy o sztuce aktorskiej". Odebrano mi głos. Chcę tylko pomóc Kreczmarowi.

W zakończeniu swego artykułu wyraża on nadzieję, iż „w rezultacie szerszej i bogatszej wymiany myśli, odnajdziemy (my", to aktorzy — przypisek M. M.) swoje miejsce w ogólnym marszu naprzód" itd. Kreczmar chce sprowokować swoich kolegów do dyskusji. Prowokacja była miękka — dolewam oliwy do ognia. Tezy gotowe:

Kreczmar — a) „bredzenie o graniu w transie... jest najczęściej zwykłą bujdą, lub mistyfikacją, a zawsze zaprzeczeniem sztuki aktorskiej".

b) „jedyną twórczą drogą dla aktora współczesnego jest szukanie inspiracji w treści problemowej".

Boy — a) „Bez myślenia się obejdzie; pomyślał już za aktora Szekspir".

b) „Cokolwiek aktor zrobi, byle z talentem, zawsze ukaże nową tajemnicę Hamleta".

Mam w zaostrzeniu tej prowokacji interes osobisty:

Chcę się czegoś nauczyć. Siadam tedy cicho w kąciku i słucham wypowiedzi aktorów. A kiedyś, kiedyś, jak pan Kreczmar będzie mniej surowy i pozwoli, dorzucę na ten temat swoje laickie trzy grosze.

Mieczysław Markowski.

PRZEDPŁATA NA NARODOWE WYDANIE DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA trwa do dnia 15 października br.

„Dziś i Jutro" Prosimy wypełniać czytelnie

DEKLARACJA

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza (4 tomy — 1700 stron — całość twórczości poetyckiej). Należność w sumie 800 zł zobowiązuję się wpłacić na konto PKO I 7474 jednorazowo, albo w ratach (nie mniejszych niż 200 zł) najpóźniej do dnia 15 października 1948 r.

..... (Nazwisko) ..... (Miejscowość)

..... (Imię) ..... (Ulica, Nr domu)

..... (Zawód) ..... (Poczta, Powiat)

..... (Podpis)

Wyciąć, nakleić na kartkę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, ul. Daszyńskiego 14. „Czytelnik", Instytut Wydawniczy 3203.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Bałk)

20

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

Odwrócił się od niej, pogonił za Krystyną. Szła przed nim, z przechyloną w jego stronę głową — jakby go wiodła spojrzeniem. Tonął w nim, pochylony nad Krystyną, roześmiany. Danuta widziała ich i to było silniejsze, wymowniejsze niż wszystkie „zostań" Alexa. Nie mogła powiedzieć, aby to wiedziała dopiero teraz, właściwie Alexowi nie można było zarzucić żadnego fałszu, żadnego oszustwa. Przesuwał ją zawsze na drugi plan, od paru lat. Jeżeli istniała w ogóle dla niego, to dlatego, że z niego nie rezygnowała, że nie chciała go utracić. Wiedział o tym, całe jej postępowanie służyło za dowód. Wyrzucała sobie, że jest bez ambicji. „Jeszcze kilka takich widowisk — pomyślała — a powiem mu, że bez niego nie mogę żyć. Melodramat — spojrzy na mnie z litością, będzie się zastanawiał, do jakich granic może posunąć swoją litość". Słuchając Tadeusza, nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówił, próbowała dociec dlaczego tak się stało. Różnice socjalne? To byłoby wprost upokarzające, była wściekła teraz na siebie, na swoich rodziców, że nie mogli wytrzymać miary, jaką narzucał świat Alexa, że w ten świat musiała się wdzierać sama, bez podpory, bez osłony, narażoną na ich dobrą wolę, na ich łaskę, na to, czy zechcą ją uznać, jak ją zechcą uznać. Już przed rokiem jej powiedział, że jest zdecydowany nie żenić się. Wyszło to jakoś niezręcznie, bez związku, jakby przestroga.

— Ze mną?

— Dlaczego tak mnie rozumiesz? W ogóle nie widzę siebie w małżeństwie. To jest okropne, być ciągle z kimś. Ja nie mogę długo myśleć o tym samym, jeśli chcesz — o tej samej kobiecie.

Było upokarzające, jeżeli Alex oceniał ją nie tylko jako młodą kobietę, ale jako córkę administratora z Zapaśnik. Lecz wzajemnie, z jej strony, myśl o Alexie kojarzyła się nieodmiennie z myślą o małżeństwie. Tłumaczyła sobie, że nie chodzi jej o układ socjalny, o jakąkolwiek sytuację życiową. Gdyby o to tylko chodziło, za mąż wyjść nie było znowu tak wielką sztuką. Chodziło jej — sądziła — o utrwalenie tego wszystkiego, co ją z Alexem łączyło. Nie na dzień, nie na noc, nie na tydzień. O stworzenie czegoś bardziej wspólnego, o spokój, że nie mogą być rozerwani. Miała trochę dziecinne pojęcie o małżeństwie, jako o nierozerwalnych więzach. Potrzebowała takiej zaciszności, takiego spokoju, choć właśnie to w niej Alex poprostu wyszydzał, wydrwiwał. Podobała mu się fizycznie, była pewna. A jednak istniała w nim jakaś niechęć, jakaś obawa. Nie przed zwyczajnym romansem, przed jakąś awanturką bez konsekwencji, którą się zaraz zapomina. Lecz na to właśnie Danusia nigdy by się nie zgodziła. Lepiej już nic, niż być z nim śmiertelnie związana całą fizjologiczną pamięcią, niemożliwym, niedosiężnym wspominaniem. Nie rezygnowała, żyła wciąż nadzieją, że go w końcu zmusi, że go sobą przekona. Zdawała sobie sprawę, że ma szalenie utrudnione działanie: poprostu przez brak wspólnych znajomych, przez niejako niezupełnie towarzyską ich znajomość. Przestał u niej bywać w Zapaśnikach, za każdym razem to ona musiała wychodzić mu naprzeciw, z uśmiechem trochę bledziutkim stwierdzała: zaczepiać go. Stawiać się w położeniu ryzykownym, bez przesłony tych względów, towarzyskich i społecznych, które zaciemniają stosunki między młodą kobietą i młodym mężczyzną, które nadają im pewną wieloznaczność, stępiają ich wyrazistość. Między Danutą a Alexem była nade wszystko sprawa ich płci. Ta gra jego czasami fascynowała, czasami ją przyjmował — i wtedy stawał się natarczywy, bezwzględny. Umiała sobie pod tym względem z nim radzić — i wtedy chłódł, oddalał się — jakby uważał na przyszłość całą ich zażyłość, przynajmniej pozory zażyłości, za bezcelowe, pozbawione sensu. Ich stosunki były odrobinę koleżeńskie — jak między studentami, jak między przyjaciółkami od dziecka, bez tej serdeczności, której można by się spodziewać. Ale mimo to był przymus, mogła się od niego uwolnić: wyrzec się Alexa na zawsze. Nie umiała tego także, jak i Alex, ostatecznie, nie skreślał jej nigdy ze swoich rachunków, nie prowadził życiowej kalkulacji, poza tą jedną, że co innego było kochać się, co innego się żenić. Pierwsze jest dla siebie, drugie dla rodziny, dla społeczeństwa, a więc mnóstwo względów — towarzyskich, społecznych, estetycznych na koniec), zawsze zostawiał jej małe miejsce, pozwalał się pojawiać, czasami tylko zaskoczony, jak dziś, gdy była mu niepotrzebna, gdy ją zatrzymywał bez żadnej konsekwencji, nie miał jej nic do powiedzenia. Nie mieściła się w najbliższym jego programie.

Nachyliła się do Tadeusza.

— Nie poszedłby pan się przejść do ogrodu?

Wyszli przed dom. Zerwał kilka żółtych bratków na klombie, wpiął je w klapę. Ukosem nad ogrodem, nisko, szły wolno dwa bociany w stronę gniazd za śpichrzem.

— Chciałabym wrócić do domu. Z Zar jest zdaje się niedaleko do Zapaśnik?

— Nie wiem, mogę się zapytać Ksawerego.

— Dobrze, tylko wie pan, bez ostentacji... Chciałabym zniknąć stąd po cichu, nie zwracając uwagi. Już późno — dodała. Może — czy pan się zdobędzie na takie poświęcenie?

— A jakie?

— Gdyby mnie pan odprowadził do Zar? Dalej mogłabym iść już sama pieszo.

— Najchętniej. Powiem im, że pokażę pani Zary. Niech pani na mnie zaczeka.

— Dobrze, doskonale. Tylko niech pan to zrobi jakoś ostrożnie, żeby nie robić zamieszania. Alex czułby się zobowiązany mnie odwozić, nie chciałabym przerywać im wieczoru.

Usiadła na ławeczce, mnąc w rękach liście bzu. Od podartej zieleni szedł gorzki aromat, z liści tryskały krople soków. Niecierpliwiła się, gdy Tadeusz nie wracał. Ale w końcu nadszedł.

— Stefka poszła do stajni, zaraz nam za przęgną konie.

— Ach, poco! Moglibyśmy pójść pieszo.

Czekanie się jej teraz dłużyło. Nie mogła się uspokoić, pociągnęła go ku stajniom pod pozorem, że chce zobaczyć konie. Zaprzęganie szło powoli, chłopak się nie śpieszył, rozkładał długo na bryczce uprząż, wreszcie wyprowadził konie. Ktoś szedł od dworu: drgnęła. Ale to był Ksawery. Powiedział kilka miłych słów, znała dostatecznie ich wartość. Potem się okazało, że pożegnanie wypadło jakby zawcześnie, bo konie były jeszcze nie gotowe i Ksawery czekał cierpliwie w podwórzu, dopóki nie odjadą. Ruszyli wreszcie i za figurą, za zakrętem, konie poszły ostrym kłusem, aż na policzkach czuło się wiatr. Nie odzywała się i Tadeusz tylko coś opowiadał, dopiero gdy wjechali w las, zaczęła uważać. Droga biegła w cieniu drzew, słońce już nikło za koronami. Tadeusz namawiał jednak Danusię, żeby choć trochę została na Zarach. „Zobaczy pani stawy, dom, drzewa" — zachęcał ją, jakby to były jakieś rzeczy niezwykłe, które koniecznie należy zobaczyć.

— Odeślemy konie do Włuk, ja potem panią odprowadzę.

— Kiedy pan nie wie, czy to jest daleko. Dziękuję, nie mogę pana narażać.

— Narażać! Rozbrykałem się, nie mogę tak ucinać dnia. Chciałbym...

— Ach, prawda, przecież ja pana stamtąd wyrwałam... Ale może pan wrócić.

Machnął ręką.

— Dzieciństwo. Wcale nie mam ochoty wracać. Mam ochotę z panią pogawędzić.

Przyjęła jego plan wbrew sobie, trochę dlatego, że i ona nie wiedziała, co zrobić z resztą dnia. Należało go jakoś dociągnąć do wieczora, nie zostawiać godzin pustych, niewypełnionych. Obeszli stawy dookoła, w trawach odróżniały się grube ciemne liście mięty. Zatrzymali się dłużej koło źródełka pod grotą. W tym jedynym miejscu woda była krystalicznie czysta. Danusia przyglądała się małym grubym rybom jak podchodziły do źródła, stawały śmiesznie w miejscu, patrzyły, zdawało się — nasłuchiwały. Trzeba było stać bez ruchu, jeden drobny gest je płoszył, zawracały i pędziły ku głębinie, chowały się w szlam i w wodorosty.

— To śmieszne — powiedział — to ich tchórzostwo. — Właściwie nic więcej do oglądania nie było. Stawy, woda, która zawsze wydziela tajemniczą siłę przyciągania, która — spokojna i zastygła — porusza w człowieku niepokój, chęć opuszczenia siebie, potrzebę nie manewru, lecz sam instynkt ruchu, instynkt ryzyka.

Spojrzała na zegarek: — „Już późno" — powiedziała pytająco. Skinął głową. Zaciągnął ją jeszcze do domu, chciał jej pokazać jeszcze salę jadalną: „Moja sala balowa" — zażartował. Przez czas, kiedy obchodzili stawy, rządczyni przygotowała niespodziankę: nakryła stół na dwie osoby, na serwetkach leżały konwalie, a mały bukiecik konwalii stał na środku stołu. Danuta oburzyła się.

— Nie, na jedzenie ja naprawdę nie mam czasu. Jest bardzo późno. — Była podniecona, chciała iść natychmiast. Tadeusz nie wiedział, czy należy jednak ustąpić. Nie było żadnego spisku, skoro jednak kolacja była przygotowana. Ostatecznie, kwestię przesądziła sama rządczyni, wnosząc półmisek ze smażonym karpiem i szparagami. Czelepiński przyglądał się, rozbawiony, gdy szybko nakładała jedzenie na talerze i jednocześnie mówiła szybko, a jednak dokładnie wymawiając każde słowo.

— Co ja słyszę! Nie, tego pani nam nie zrobi. Trzeba zjeść rybkę, ugotowałam też szparagi. A widzi pan — błysnęła ku Tadeuszowi oczami — że większa ilość foteli czasami się przydaje? Zdąży jeszcze pani— uspakajała Danusię — trzeba zostać.

— Sama nie wiem, dlaczego ciągle ustępuję powiedziała Danuta. — Dotychczas, dotychczas — powtórzyła jakby chciała na ten wyraz położyć specjalny akcent — zawsze działo się tak, jak ja chciałam. Weszłam na drogę ustępstw — uśmiechnęła się.

— Ale w drobiazgach.

— Czy są drobiazgi? Wszystko jest bardzo ważne. — Nie zdjęła płaszcza, dopiero potem, pijąc herbatę, zwróciła na to uwagę. Właściwie, mogłam była zdjąć płaszcz, lecz teraz już nie warto.

Podniosła się i jeszcze wyszła na balkon. Stanął za nią w drzwiach, na zblakłym niebie wieczornym od południo-zachodu błyszczał księżyc. Staw pod balkonem ciemniał, stawał się gęsty, malachitowy w barwie — od drzew.

— Nocą będzie pięknie.

— Tak, lecz tak długo chyba nie będziemy czekali — zauważyła. Gdy wychodzili z domu, rządca ofiarowywał im konie.

— Czy to daleko? — zapytał Tadeusz.

— Li, nie. Przez las będzie ze trzy kilometry. Byle nie zabłądzić po ścieżkach. Może ja bym przeprowadził?

Tego jednak Tadeusz sobie nie życzył, nie było sensu; skoro udało mu się przedłużyć ten dzień z Danusią, brać sobie rządcę na kark w roli niewygodnego piątego koła u wozu.

— Nie, niech pan się nie trudzi. Damy sobie radę, proszę nam tylko powiedzieć, jak się idzie.

Tadeusz odrazu się obawiał, że nie trafi. Wskazówki rządcy nie grzeszyły prostotą, w dodatku Tadeuszowi nie udawało się ich przymierzyć w wyobraźni do niczego: nie znał tego lasu. Dąb za potokiem, czteroletni zagajnik w prawo od głównego duktu — to nic mu nie mówiło. Nie chciał jednak trwożyć, ani zniechęcać Danusi. Poszli.

Zrazu wszystko było dobrze, gdy szło się drogą między polami, żyto stało już pod kłosami. Nawet z początku w lesie. Dopiero potem przyszło zmartwienie, gdy trzeba było skręcić z drogi naprzełaj w las. Nie wiedzieli oboje, czy już należy skręcać. Nie mówili zresztą o tym, poza jedną uwagą Tadeusza, pół serio, że rządca nie powinien był ludziom tak niedoświadczonym, jak oni radzić drogi naprzełaj przez las.

— Przecież te drzewa są wszystkie do siebie podobne — westchnął z ukrytą rozpaczą.

W końcu Danusia objęła inicjatywę. Powiedziała, że ostatecznie trochę ten las zna, że nie czuje się tutaj bynajmniej zbłąkana. Prowadziła go przez istne pole konwalii, zarastały gęsto przestrzeń między drzewami. „W dzień byłoby tu zupełnie biało" — powiedział. Próbował z początku nie deptać liści, robiło się jednak coraz ciemniej, księżyc zaczął rzucać blade światło, jeszcze zupełnie nikłe. Nie pokonało resztek dnia, resztek słońca.

— Chyba pan u nas przenocuje — powiedziała zatroskanym głosem.

Potem, gdy wracał, żałował, że się nie zgodził.

Musieli jednak pobłądzić, bo znaleźli się w szczerym polu. Ale Danuta zdawała sobie sprawę, gdzie są. Uspokoiła go, że nie jest już daleko.

— Teraz trafię z zamkniętymi oczyma — powiedziała.

Doprowadził ją aż do opłotków, patrzył potem jak znikała za sadem, nie odwróciła się ani razu. Gdy nie było jej już widać, zawrócił. Teraz ona opisała mu drogę, stąd, z Zapaśnik, świat nie wydawał się Danucie zamknięty — „teraz nie może pan zabłądzić".

— Więc zobaczymy się w przyszłą niedzielę? — upewniał się. Skinęła głową.

— Na pewno.

— Ależ dobrze, na pewno.

Odchodził z tą obietnicą i z jej uśmiechem. Szedł szybko, było już niemal zupełnie ciemno, nie zgodził się na nocleg w Zapaśnikach.

— Dlaczego? — zapytała. — Ja dziś popołudniu ciągle ustępowałam.

— To co innego. Mam ochotę na ten wieczór w lesie. Cały dzień mi minął w okamgnieniu.

— Co to pomoże, myśleć — zauważyła. Może byłby nawet został, gdyby nie śmieszny przypadek, gdy schodzili ze wzgórza, nakrytego rodzajem ni to łąki ni to pastwiska: potknął się o kretowisko i runął jak długi do stóp Danuty. Roześmiała się i chciała go podnieść. Zdołał ją uprzedzić i zerwał się na równe nogi.

— Brakuje tylko — mruknął przez zęby, żeby mnie pani zapytała, czy się potłukłem, jak małego chłopaka.

— Choć pan jest taki mały ponury chłopak — roześmiała się na nowo — nie będę o nic pytać.

Przed kwadransem, na skraju lasu, próbował ją pocałować. Trochę znienacka, zdradziecko, wśród żartów, między jakąś kaskadą jej śmiechu. Śmiała się z jakiegoś jego opowiadania, opowiadał mechanicznie tę błachą historię, nie uważał, zaprzątnięty myślą o jej ustach, o jej włosach. Gdy szli koło siebie, z bliska wchłaniał ich zapach, drażniły go kolorem, miękkością, możliwością zanurzenia w nich warg, palców. Była jednak przygotowana, czujna widocznie z natury, uchyliła mu się spod ramienia, powiedziała:

— Nie. — I nic więcej, nie była wcale ani obrażona, ani dotknęta, ani zaskoczona. Nic w tym rodzaju. Śmiała się w dalszym ciągu, epizod — jakby zupełnie bez wagi — wyczerpał się sam przez się.

— Z panem się przyjemnie rozmawia — zauważyła w jakiś czas potem i w tych słowach nie było nic z komplementu. Oznaczały tyle, ile zawierały. Wkrótce potem potknął się o kretowisko. Nie pocieszała go wcale, przeciwnie, przyznała, że wyglądał zabawnie.

Szedł coraz szybciej, noc robiła się chłodna, rozgrzewał się marszem. Zapiął szczelnie płaszcz. Drzewa zlewały się w cień, od pni odrywała się jasna mgła — jak zapach konwalii. Gdzieś w prawo rozległ się chrzęst gałązek, jakaś ciemna męska postać przecinała mu naukos drogę. Przystanął — jak wietrzące zwierzę. Tamten nie zwrócił na niego wcale uwagi i Tadeusz był nawet zły na siebie, że go tchórz oblatuje. Sam nie wiedział kiedy otworzyło się znowu pole. Nad stawami błyszczał srebrny księżyc, pola stały cicho. Jakby noc wyłączyła życie, jakby nawet pola zapadały w sen. Rządca jeszcze nie spał i powiedział, że był zaniepokojony, czy Tadeusz trafi. "Państwo z Włuk przyjechali nad wieczorem, czekali trochę i pojechali z powrotem".

(c. d. n.)

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Leszek Prorok: Dzień nad Mołtawą Ks. św. Wojciecha, r. 1939, str. 51.

Habent sua fata libelli...

Książeczka Proroka przeżyła ciekawe koleje losu. Wydana w r. 1939 — przed samym wybuchem wojny — nie zdążyła jeszcze zawędrować na półki księgarskie, aby stamtąd trafić do rąk czytelników, gdy z mnóstwem innych, antyniemieckich wydawnictw pochwyciły ją i pożarły płomienie „inkwizycyjnych" stosów niemieckich. Palono wtedy „Na tropach Smętka", „Ziemia gromadzi prochy", wszystko, co godziło w autorytet i plany polityczne III Rzeszy.

Zginęła wtedy większa część nakładu książeczki Leszka Proroka. Dopiero po wojnie w jednym z podziemi warszawskich składów księgarskich odnaleziono kilkaset jej egzemplarzy i puszczono na rynek. Dobrze się stało, że chociaż tyle oszczędził przypadek.

Bo „Dzień nad Mołtawą" stanowi bardzo miłą i bardzo wartościową lekturę dla młodzieży. Bezpretensjonalny, a bogaty w konkrety historyczne opis zwykłego dnia w Gdańsku, szkicowo nakreślone stosunki, wykazujące polskość „der freien Stadt", ujmujący styl siedem nastowiecznej gawędy, jej wartości polityczne, historyczne i literackie zjednać powinny Prorokowi jak najwięcej czytelników.

Pewne zastrzeżenia budzi, co prawda, i lubowanie się wyraźne w żonglowaniu obcojęzycznymi terminami, nie zupełnie wytłumaczone ambicją „uhistorycznienia" opisu i sielskość jego atmosfery, wynikła z uproszczeń ówczesnej sytuacji, ale całości szkicu nie obciąża to żadnym grzechem śmiertelnym. Zdradza on, że powstał pod piórem młodego jeszcze, ale już świadomego swoich zadań i środków pisarza, próbującego sił w trudnym materiale romansu historycznego.

R. Matuszewski i J. Rojewski: Gospoda pod „Wesołą Kukułką". „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1948 r., str. 85, rysunki M. Walentynowicza.

Jest to wesoła trzyaktówka, wydana jako pierwszy tom Biblioteki Teatralnej Domu Wojska Polskiego. Stanowi ona inteligentną, dowcipną i wartościową realizację „zamówienia społecznego" dla świetlic, objazdowych teatrów żołnierskich, czy ośrodków kulturalno - wychowawczych. Ciekawa akcja, osnuta na tle walk wojska Armii Czerwonej i Wojska Polskiego w rejonie Łużyc, dowcipne sceny, szlachetne myśli, a przy tem solidna robota literacka — złożyły się na sympatyczne dziełko które na pewno zjedna sobie i czytelników, a w przyszłości bawić będzie i udzyć tysiące widzów.

Lekkość, z jaką zawiązuje się akcję, dyskrecja, z jaką wprowadza się do niej tzw. „momenty wychowawczo - polityczne" (jak np. postać Łużyczanina, który tłumaczy, że „znaju polscy"), akcenty satyryczne czy wspaniałe wstawki humorystyczne wyzwalają w czytelniku westchnienie ulgi, że może wreszcie wydawnictwa tego typu zniszczą przykrą tradycję patriotycznych szmir, czy rewiowych wygibasów, którymi zapychano repertuar świetlicowy.

Całość jest jednocześnie dowodem, że wystarczy dobra wola, inteligencja, aby prawie od niechcenia — bo takie wrażenie wywołuje trzyaktówka — napisał ktoś, kto zawalony jest wszak i inną robotą, rzecz dobra, miła i wartościowa.

Wydawnictwo „Prasa Wojskowa" zrobiło szczęśliwy krok w kierunku zapełnienia przykrej luki żołnierskich teatrów świetlicowych. Staranne, ładne wydanie, zbogacone świetnymi rysunkami niezawodnego Walentynowicza jest osiągnięciem, które i autorom i wydawcom i ilustratorowi poczytać należy za prawdziwą zasługę.

Jerzy Kowalewski: Dokąd idą Niemcy? „Książka", 1948 r., str. 291.

Obok książek Edmunda Osmańczyka („Sprawy Polaków", „Dokumenty pruskie") i książki Mariana Podkowińskiego („IV Rzesza rośnie") praca Jerzego Kowalewskiego stanowi najpoważniejsze oświetlenie wiecznie aktualnych problemów zagrażającej pokojowi świata niemczyzny.

Autor świadomy wagi zagadnienia pokusił się o przedstawienie wszystkich jego rozgałęzień analizując po kolei sprawy gospodarcze (część I: „Czy kartele niemieckie przeżyją hitleryzm?), kwestie ustroju społecznego (część II: „Reforma rolna — podstawą demokratyzacji Niemiec"), wreszcie zagadnienie wychowania, (część III: „Czy Niemcy oduczą się myśleć po hitlerowsku"?).

Wykazawszy, w oparciu o źródłowe materiały, których przegląd i skomentowanie jest jedną z największych zasług autora, że:

1) Kartele niemieckie na Zachodzie nie przerwały swej działalności z upadkiem politycznym trzeciej rzeszy,

2) junkierstwo niemieckie będzie miało szanse oddziaływania na losy kraju i urabiania jego opinii politycznej, dopóki reforma rolna nie zostanie przeprowadzona w całej rozciągłości,

3) nie zwalczono dotychczas żywej jeszcze wśród młodzieży ideologii imperializmu, jako pozostałości hitlerowskiego myślenia — dochodzi do udokumentowanego faktami i logiczną motywacją wniosku, że z dwóch koncepcji rozwiązania sprawy Niemiec: poczdamskiej i anty - poczdamskiej, jedynie koncepcja poczdamska jest realna i zgodna z założeniami demokratycznymi.

Dla wyrazistszego przedstawienia całego kompleksu tych arcytrudnych zagadnień, zrezygnował Kowalewski z lekkości i atrakcyjności reportażu w stylu Osmańczyka czy Podkowińskiego, dając jednak gruntowne studium, które powinno spełnić swoją ważną rolę.

Zyg. Lich.

Dotychczasowe rezultaty E.C.A.

Blisko pięć miesięcy dzieli nas od chwili uchwalenia przez Kongres Stanów Zjednoczonych pomocy finansowej dla 16 państw Europy oraz zachodnich stref Niemiec w ramach t. zw. planu Marshalla. Interesującą jest zatem odpowiedź na pytanie o dotychczasowy przebieg realizacji tej pomocy, jej rozmiary i charakter.

Według opublikowanych w sierpniu b. r. danych zakupy państw uczestniczących w planie Marshalla wyrażają się sumą 940 milionów dolarów na poczet globalnej kwoty przyznanej pomocy.

W sumie tej największy udział przypada na Wielką Brytanię (30%), a na Francję, Włochy i Niemcy Zachodnie po 12%.

Analizując dotychczasowe zużycie pomocy według rodzaju zakupionych towarów otrzymujemy następujący obraz: dostawy artykułów żywnościowych wyniosły 41% sumy 940 milionów dolarów, dostawy surowców — 43%, artykułów dla rolnictwa — 2,2%, artykułów inwestycyjnych — 2,0%, artykułów różnych — 1,5%, a na koszty transportu przypada 10%.

Pszenica i produkty naftowe są artykułami, które stanowią największą część ogólnej ilości dostaw (pszenica i mąka pszenna stanowią 75% dostaw żywnościowych, produkty naftowe około 25% dostaw surowców).

Na podstawie cyfr powyższych stwierdzić należy, że pomoc w ramach planu Marshalla została jak dotychczas zużyta w głównej mierze na zakupy żywności oraz surowców. Natomiast minimalna część środków przeznaczona została na artykuły inwestycyjne (maszyny itp.). Jeśli się uwzględni, że głównym celem planu — przynajmniej według formalnych oświadczeń jego autorów — ma być umożliwienie rekonstrukcji gospodarczej Europy (nie tylko przywrócenie przedwojennego poziomu konsumpcji i produkcji, lecz zmodernizowanie wyposażenia technicznego dla wyrównania istniejących dysproporcji w poziomie gospodarczym między krajami zniszczonymi wojną, a tymi krajami, które ich uniknęły), to znikomy udział dostaw o charakterze inwestycyjnym oceniać trzeba jako zjawisko negatywne.

Możność otrzymania poważnych ilości żywności i surowców jest bezwątpienia poważną ulgą dla zainteresowanych państw. Łagodzi trudności aprowizacyjne, które w niektórych krajach (np. Francja, Włochy) są głównym czynnikiem który utrudnia przywrócenie równowagi gospodarczej. Importowane surowce za dolary przyznane przez Kongres Stanów Zjednoczonych pozwalają na rozwój produkcji przemysłowych, który musiałby być mniejszy bez pomocy z uwagi na niemożność zrównoważenia bilansów płatnych. Dodatnie strony, które się wiążą z importem żywności surowców nie zmieniają jednak w sposób zasadniczy dotychczasowego stanu rzeczy. Pamiętać bowiem trzeba, że również w ciągu ubiegłych kilku lat szereg krajów Europy Zachodniej żyło oraz zwiększało swą produkcję dzięki kredytowemu lub darmowemu importowi towarów ze Stanów Zjednoczonych. Wystarczy tu wspomnieć dla przykładu Wielką Brytanię, która zużyła już znaczną część przyznanego jej kredytu w 1946 r. przez Stany Zjednoczone. Francję, której gospodarka funkcionuje dzięki otrzymywanej pomocy finansowej od Stanów Zjednoczonych, Włochy, które otrzymały ponadto t. zw. pomoc pounrrowską.

Czynnikiem, który pozwoliłby omawianym krajom podnieść w sposób zasadniczy poziom swej gospodarki, by stać się równorzędnym partnerem w wymianie międzynarodowej jest przeprowadzenie poważnych programów inwestycyjnych.

Przypuszczać można, że obliczony na zaspokojenie bieżących potrzeb dotychczasowy charakter otrzymywanej pomocy winien ulegać zmianie w miarę poprawy sytuacji aprowizacyjnej krajów Europy Zachodniej, gdyż wówczas większa część będzie mogła być zużyta na zakupy urządzeń inwestycyjnych. Z drugiej strony liczyć się należy z tym, że intencje sfer przemysłowych Stanów Zjednoczonych, a w szczególności ciężkiego przemysłu nie idą w kierunku rozbudowy bazy produkcyjnej Europy (fakt ten zostaje np. podkreślony w odniesieniu do amerykańskiego przemysłu stalowego przez najpoważniejsze pismo gospodarcze Wielkiej Brytanii — The Economist). Dlatego też wydaje się, że pokrycie zapotrzebowania na sprzęt inwestycyjny będzie się musiało przede wszystkim odbywać w drodze wzajemnej wymiany zainteresowanych państw Europy. Zagadnienie to jest jednym z odcinków problematyki zwiększania wzajemnej wymiany handlowej krajów marshallowskich. Dotychczasowe możliwości w tej dziedzinie są znikome. Jedynie 8% ogólnej kwoty zakupów ze środków planu Marshalla dotyczy państw w nim uczestniczących. Największa część dostaw pochodzi ze Stanów Zjednoczonych (62%), następnie z Kanady (17%), na Amerykę Południową przypada 5%, a na terytoria Bliskiego Wschodu — 4%. Operowanie miejscem pochodzenia towaru nie odzwierciadla jednak istotnego stanu rzeczy. Nie można pominąć momentu faktycznego eksportera. Jeśli się bowiem weźmie pod uwagę, że tereny naftowe Bliskiego Wschodu, czy też przedsiębiorstwa w Ameryce Południowej znajdują się w znacznym stopniu w posiadaniu obywateli Stanów Zjednoczonych, to dojść należy do wniosku, że faktyczny udział tego kraju w pokrywaniu zapotrzebowania importowego państw marshallowskich będzie znacznie większy. Nie trzeba nawet podkreślać ujemnych stron, które się wiążą z dominującą rolą Stanów Zjednoczonych jako dostawcy Europy. Stan ten przy równoczesnym braku pokrycia należności przez Europę za import ze Stanów Zjednoczonych jest czynnikiem, który od lat powoduje zwichnięcie równowagi handlu światowego.

Ogólnie stwierdzić należy, że dotychczasowy przebieg realizacji ustawy o pomocy finansowej dla Europy (ECA) przyczynia się w poważnym stopniu do likwidowania bieżących braków uczestniczących krajów. Nie ma natomiast wpływu na radykalne podniesienie poziomu gospodarczego.

W wypadku kontynuowania obecnej polityki handlowej Stanów Zjednoczonych coraz silniej będzie uwypuklana konieczność zwiększania wzajemnych stosunków gospodarczych wszystkich krajów Europy, tym bardziej, jeśli uwzględnimy, że w miarę powstawania nadwyżek artykułów rolnych w niektórych krajach Europy Wschodniej odpadać będzie stopniowo potrzeba dokonywania importu żywności z Ameryki Północnej. (k)

Najmłodsza twórczość

...Zdala ozwał się przeciągły warkot gąsiennic. Szły czołgi. W powietrze wkręcał się potężny grzmot, charkot dziki, jak toczącej się lawiny.

Parły naprzód, jakby całe piekło ruszyło w tej chwili na biedną stolicę Polski.

Grzmot rósł, potężniał, przybierał na sile, aż wreszcie wśród sierpniowego skwaru i kurzawy wyłonił się olbrzym — czołg. Parł z wielką siłą przed siebie, gniotąc wszystko, sam niezwalczony, dumny.

Był może ze dwieście kroków od barykady, gdy z zaułka wyskoczyło trzech małych chłopców. Biegli wpół zgięci, z butelkami w rękach w zanadrzu. Pierwszy olbrzym był już kilkanaście kroków od dzieci, gdy od strony ich pochylonych sylwetek mignęło w powietrzu parę butelek z naftą, przy szyjce zapalonych. I wnet zajął się czołg pierwszy, a za nim drugi. Trzeci chciał szybko zawrócić, mając jednak zatarasowaną drogę rzucił się w bok, na barykadę. Nie zdążył jednak wdrapać się na nią, gdy z boku wybiegła jakaś postać dziewczęca i rzuciwszy granat zaczęła się cofać...

Hania nie próżnowała. Gdzie chłopcy tam i ona. Z automatem na ramieniu, z lekarstwem w ręku. Za Stefem. On jej, nie wiedząc o tym, dodawał odwagi, ona jemu.

Zmieniła się jednak. Zeszczuplała, wymizerniała i zczerniała. Raz tylko widziała brata. Rzuciła się Tadkowi na piersi, spytała o matkę i rodzeństwo i poszła dalej. Cicha, posłuszna i opanowana.

Nieraz już zdarzało się jej przechodzić kanałami. Zimne, oślizgłe cuchnące... Ona niezmiernie zmęczona idzie, czasem świecąc latarką, właściwie w ciemnościach.

Wstrętna pleśń lepi ręce, ubranie i obuwie. To nic...

Dnie były parne, męczące nieprzerwaną walką, głodem i niewywczasem. Z karabinem w ręku chłopcy zasypiali na placówce. Na głos rozkazu zrywali się jak zahipnotyzowani, znając tylko jedno:

„Nie ma śmierci,
jest rozkaz.
Każdy trup to drogowskaz".

Żmudna i uporczywa walka wyczerpała ich. Serca zostały jednak mężne. Skrawek za skrawkiem wyrywali z pazurów niemieckich ziemię. Cal po calu. Po płycie chodnika, po jednym pokoju, przedsionku. Boże! Jakżeż ciężko! Pomóż! Daj nam wytrwać! Pozwól nam wyzwolić ojczyznę! — szeptały usta spieczone, nabrzmiałe krwią, gorące.

Modliły się serca, błagały. Śpiewał prośby chichot cekaemów. Skowyczały pękające domy, złorzeczyły groźne barykady. Byle zdobyć! — wyje głucha rozpacz w serce. Ręka ze stenem drży.

Strzał. Za matkę, za siostrę, ojca, brata, narzeczoną, za Pawiak, mordownię oświęcimską, za Majdanek, za Aleję Szucha, za wszystkie obozy! Za wszystko! Masz! Giń wrogu podstępny, nie powstaniesz nigdy. Przekleństwo wisi na tobie i na twoim pokoleniu...

Zyta Drużkowska.

Od Redakcji: Autorka ma lat 13. Jest uczennicą szkoły powszechnej w Otwocku i wychowanką Domu Dziecka Wojewódzkiego Komitetu Opieki Społecznej.

Tęczowy reportaż

(Dokończenie ze strony 3)

Samorządny system Magazynu II wzbudził zainteresowanie innych robotników. Już od dawna stosowano w porcie spontaniczne dobieranie się do pracy, wybieranie auszecerów itp. Po dokładnym poinformowaniu się zastosowali u siebie system „kolon" i wspólnej kasy robotnicy strefy wolnocłowej, pracujący przy przeładunku bawełny. „Portorob" zapowiedział zastosowanie ryczałtowego, grupowego wynagrodzenia robotnikom ładującym rudę w Basenie Górniczym w Nowym Porcie.

WYCHOWANIE NOWEGO CZŁOWIEKA

— Niech pan nie sądzi, że organizowanie spółdzielni jest proste — przestrzegał mnie przed nieopatrznymi wnioskami jeden z członków Zarządu. — Robotnik portowy jest inny od wszystkich robotników. Wpływa na to charakter jego pracy, kontakt z morzem — tym oknem na świat, zetknięcie z marynarzami zagranicznymi. Robotnik portowy ma psychikę anarchisty...

Praca nie tylko wykształca silniej jedne mięśnie, a innym — nieużywanym — każe zamierać. Praca wykształca także pewne dyspozycje psychiczne a zabija inne. W naszym czasie, kiedy tyle się mówi o wychowaniu nowego człowieka i tyle się tworzy nowych szkół na jakiś paradoks zakrawa fakt, że zapomina się o najdłuższej szkole, do której każdy człowiek uczęszcza przez całe życie, w której się uczy 8 godzin dziennie — o pracy zawodowej.

Praca w porcie jest z konieczności pracą uspołecznioną. Odbywa się nie indywidualnie, ale samorzutnie tworzonymi zespołami. Człowiek musi przystosować się do innych, zharmonizować z nimi w zespół. Wykształca to solidarność, koleżeństwo, skłonność do szukania obrony przed nędzą i wyzyskiem w zaradności zbiorowej. Można mnożyć w nieskończoność przykłady na potwierdzenie tego. Można by opowiedzieć o tym robotniku, który przy przepychaniu wagonów — zmęczony czy zamyślony — zmiażdżony został przez bufory i o tym jak koledzy, w większości mu nieznani, zorganizowali ze swych nędznych zarobków składkę dla wdowy. Jak to w Nowym Porcie wysunęli robotnicy projekt utworzenia ze składek 20-tozłotowych kasy zapomogowej, zarządzanej przez wybraną komisję, a przeznaczoną na choroby, nieszczęśliwe wypadki, pogrzeby itp. Jak to starzy, chorzy, kalecy, których zdrowie zżarł port pracują dalej, bo grozi im widmo głodu i jak im zdrowi koledzy wyszukują na gangu lżejsze prace, jak się ujmują za nimi na zebraniach członkowskich, żądając zatrudnienia na funkcjach auszecerów i magazynowych.

Spółdzielnia pracy daje tym dyspozycjom formalną i organizacyjną sankcję. Dlatego zapewne idea jej tak bardzo trafia do serca robotnikowi portowemu. Bez jej istnienia z całą pewnością nie wszedłby w życie projekt renty na starość, uzupełniający stawki ubezpieczeniowe do wysokości 90% ostatniego zarobku (wzorem spółdzielni czeskich). Bez jej istnienia nie otrzymałby pożyczki na budowę swojego domku ten robotnik, który się o nią zwrócił do Walnego Zgromadzenia i któremu ją ono jednomyślnie przyznało.

Spółdzielczość pracy, łącząc zatomizowane jednostki w zespoły pracy, uspołecznia człowieka i uszlachetnia jego egoistyczne skłonności. Spółdzielczość pracy uaktywnia człowieka, otwierając przed nim możność wpływania na los zespołu, a więc i własny. Spółdzielczość pracy chroni człowieka przed roztopieniem w bezosobowej masie, pozwalając wyzwolić w małym zespole jego indywidualne wartości. W spółdzielczości pracy jest miejsce na człowieka. A o to przecież chodzi, to jest najważniejsze.

Karol Zajczniewski

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna Wydawca Kolegium Redakcyjne.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 12, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
Druk. Skolimowska 6.
B-57498